

AMERYKA-POLSKA

Nr. 7 MIESIĘCZNIK M. ARCTA Zł. 1,50

AMERYKA-POLSKA

Miesięcznik Ilustrowany
Literacko-Ekonomiczny

ROK III LIPIEC 1925 Nr. 7

OD WYDAWNICTWA

Ciągle otrzymujemy żądania, by udostępnić nasze czasopismo jak najszerszym sferom, nie poprzestając na kole naszej dotychczasowej wyborowej klienteli. Czytelnicy są zdania, że „Ameryka-Polska" zasługuje na to, żeby była w każdym domu, żeby ją czytał tak profesor uniwersytetu, jak i uczeń gimnazjum, minister i drobny urzędnik manipulacyjny, prezes banku i nauczyciel ludowy, dyrektor fabryki i robotnik. Zdaniem naszych przyjaciół są jednak trzy przeszkody do dalszego rozwoju i naszym obowiązkiem jest je usunąć jak najprędzej.

Przeszkodami temi są: **cena, format i tytuł.** „2 zł. 50 gr. za numer — twierdzą czytelnicy — obecnie, przy tak szalonym braku gotówki, to jest suma duża, niedostępna dla przeciętnej kieszeni". Niejeden przygląda się pismu przez szybę księgarską, oblicza zasoby, a wreszcie pisze do redakcji: „pismo śliczne, chciałem kupić—nie mogę—czyby redakcja nie potrafiła zrobić czegoś również dobrego, lecz taniej?"

Przeciwko obecnemu formatowi występują najenergiczniej sprzedawcy—a więc księgarnie, gazeciarze i kioski. Twierdzą, że za duży, więc niewygodny do czytania w pociągu czy tramwaju, a przedewszystkiem, że za wiele miejsca zajmuje w sklepie czy na ladzie, a w półce go ustawić nie można i przez to także się prędzej niszczy.

Inną kategorję czytelników—może jeszcze liczniejszą — odstrasza nasz tytuł: „Ameryka-Polska" mówią—„to pewno jakieś historyczne, geograficzne lub ekonomiczne porównanie".—A gdy ich się namówi na obejrzenie zeszytu, krzywią się: — No tak, treść ciekawa, ale chyba to jakaś propaganda... — czy ja wiem, może religijna, może dobroczynna.—Pani Szanowna—proszę przeczytać, przekonać się, że to nieprawda, że nie służymy nikomu, że żadnej tam propagandy nie uprawiamy, że pismo szerzy tylko zdrowe i dla Polski korzystne idee i rozpowszechnia nowoczesne metody pracy, podnosząc to, co dobre, a ganiąc złe, że potrafi zająć, zabawić i uczyć. — A to pocoście się tak dziwnie nazwali — nikt tego tytułu nie rozumie, a wielu go się boi.

Niema rady — czytelniczki każą — trzeba słuchać.

A więc zdecydowaliśmy się:

Cenę zniżamy, format zmniejszamy, tytuł zmieniamy.
Pojedyńczy zeszyt odtąd będzie kosztował zł. 1.50.
Prenumerata kwartalna zł. 4.—.

Zniżka ceny nie odbije się bynajmniej na objętości pisma, albowiem, przechodząc na druk drobniejszy, będziemy w stanie dawać taką samą ilość materjału; treść zaś i strona ilustracyjna nie tylko się nie pogorszy, ale będzie znacznie ulepszona, przez wprowadzenie wiadomości o teatrze i o literaturze, oraz ciekawych nowin naukowych.

A teraz tytuł. Nasz dawny — symbolizował nasze zamierzenia — położyć most pomiędzy dwiema potężnemi republikami: Polską — przedmurzem chrześcijaństwa na wschodzie — i Ameryką — stróżem białej rasy od zachodu; pomiędzy Rzeczpospolitą a Polską w Ameryce, pomiędzy naszem życiem gospodarczem a pracą i bogactwem z za oceanu, pomiędzy naszą wspaniałą i potężną sztuką i literaturą — a wielomiljonowem wychodztwem, zaczynającem wysuwać własne wartości duchowe. Jedyny tytuł, który jest wyrazem tych dążeń, a który bez uszczerbku dla treści pociąga swem brzmieniem i nie „straszy" zbytnim amerykanizmem to tytuł:

DWA ŚWIATY

i tak odtąd będzie się nazywało nasze czasopismo.

Prosimy więc naszych przyjaciół, by odtąd żądali

DWÓCH ŚWIATÓW

we wszystkich księgarniach, w kioskach Towarzystwa księgarni kolejowych „Ruch", w sprzedażniach PARA, w kioskach miejskich i u sprzedawców gazet.

POSEŁ ALFRED J. PEARSON

Minister Pełnomocny i Poseł Nadzwyczajny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Polsce, prof. dr. Alfred J. Pearson, obejmuje placówkę dyplomatyczną w Helsingforsie.

Przybywszy do naszego kraju w czerwcu r. z., p. minister A. J. Pearson opuszcza już Polskę, pozostawiając po sobie głęboki żal tych wszystkich osób, które go znały osobiście, jak również szerokich sfer społeczeństwa polskiego.

W czasie krótkiej bytności p. ministra A. J. Pearsona w Polsce zaszło cały szereg faktów niezwykle doniosłej wagi, jak np. konsolidacja długu polskiego w Ameryce, uzyskanie pożyczki państwowej oraz kredytów długoterminowych dla przemysłu, wręczenie Armji Polskiej Orderu Cyncynatta, a nadewszystko zaproszenie p. ministra Al. hr. Skrzyńskiego na wykłady w Williamstown, co będzie miało doniosłe skutki w stosunkach polsko-amerykańskich, — oraz wiele innych.



Dr. Alfred J. Pearson
Poseł Stanów Zjednoczonych A. P.

We wszystkich tych, tak doniosłych dla Polski, zdarzeniach głos p. ministra Pearsona miał znaczenie niezwykle dodatnie. Wogóle stwierdzić można, że stosunek p. ministra Pearsona przekraczał ramy normalnego zakresu oficjalnego, a nosił charakter wprost osobistego, niezwykle serdecznego uczucia, co nadawało specjalne piętno wszystkim Jego głęboko przemyślanym poczynaniom.

W całym szeregu wypadków p. minister Alfred J. Pearson wykazał niezwykłe zainteresowanie Polską, samorzutnie występując nazewnątrz w obronie jej dobrego imienia. Skonstatować więc należy, że wzmagające się zainteresowanie sobą obu krajów, oparte na poczuciu istotnego zrozumienia swych potrzeb i celów—jest w całkowitej części zasługą p. ministra A. J. Pearsona.

Towarzystwo Polsko-Amerykańskie i Amerykańsko-Polska Izba Handlowo-Przemysłowa w Polsce—mając szczęśliwą sposobność, dzięki bliskiemu kontaktowi, obserwowania działalności p. ministra A. J. Pearsona — pragną na tem miejscu wyrazić Mu głębokie i szczere uznanie za jego tak ofiarną i pożyteczną wskutkach pracę dla pogłębienia stosunków polsko-amerykańskich, nie wątpiąc, że szczera wdzięczność całego narodu polskiego będzie dlań właściwą podzięką.

Naród polski nigdy nie zapomni swego serdecznego przyjaciela—Alfreda J. Pearsona!

LOTY SOKOŁA POLSKIEGO

WSPOMNIENIA Z HISTORJI SOKOŁA W B. ZABORZE ROSYJSKIM

W Polsce bawią Sokoli polscy z Ameryki.
Ojczyzna otwiera przed nimi swe serce pełne miłości.
Radaby krzyknąć: Hej, Sokoły moje, dość lotu waszego! Budujcie swe gniazda w mem wolnem teraz łonie i twórzcie potęgę moją na miarę taką, jakąście tworzyli w Nowym Świecie!
Napróżno! Sokół nasz odleci z powrotem tam, dokąd go głos życia wzywa, do drugiej, przybranej swej ojczyzny. Odleci, by za oceanem wić gniazda polskości, być żywem świadectwem niespożytej siły narodu naszego. Tam umacniać on będzie więzy duchowe, łączące Rzeczpospolitą Polską z wielkiem Commonwealth of the United States.

* * *

Jesteśmy szczęśliwi, że z okazji uroczystego zlotu Sokołów w Warszawie przy współudziale Druhów amerykańskich możemy zaznajomić Czytelników naszych z historją powstania i rozwoju Sokolstwa w Polsce. Autor szkicu niniejszego, kryjący się pod pseudonimem T e k a, jest jednym z pierwszych jego twórców i organizatorów.

„Nareszcie pękły kajdany". — Tak zaczął przemówienie swoje p. St. Libicki pod pomnikiem Mickiewicza do tłumów zebranych w pochodzie narodowym w dniu 5 listopada 1905 r.

Setki chorągwi i proporców narodowych, przygotowanych w ciągu jednej nocy, łopotało w powietrzu nad rozentuzjazmowanym tłumem, który w pochodzie niezsegregowanym a olbrzymim, nieuporządkowanym a karnym walił od Katedry przez Krakowskie, Nowy Świat, Ujazdowskie, Marszałkowską, Erywańską do Ś-go Krzyża i tam rozwiązany został bez interwencji lub pomocy policji rosyjskiej. Były pochody późniejsze, zorganizowane, uporządkowane, nawet większe, ale ta żywiołowa siła pierwszego pochodu z dnia 5-go listopada 1905 r. już się nie powtórzyła. Serca uczestników jednoczyły się, nieporozumienia i nienawiści topniały i znikały, a wzamian rodziły się projekty wspólnej pracy i wspólnych dążeń. W pierwszym rzędzie projektowano stworzenie Macierzy Szkolnej, Opieki nad więźniami i Sokoła.

Sokół—to wyrobienie ducha narodowego, przygotowanie do walki z wrogami, — to zrównanie różnic kastowych w jednakowem dla wszystkich ubraniu ćwiczebnem przy gimnastyce, w jednakowym mundurze przy wystąpieniach nazewnątrz, — to podstawa bytu dla przyszłej Ojczyzny. To też Sokół, istniejący za kordonem od lat wielu, był oddawna marzeniem tajnem, bo niedozwolonem dla królewiaków; usiłowano wcielić to marzenie przez tworzenie kółek gimnastycznych przy Towarzystwach sportowych — ale to nie był Sokół! Najpoważniejsze zasługi miało tu T-wo Cyklistów, gdzie d-h Karol Noskiewicz prowadził ćwiczenia gimnastyczne i przygotowywał przodowników, późniejszych naczelników gniazd sokolich. Poważne zasługi przyznać też należy T-wu Łyżwiarskiemu, które zawsze oddawało i dotąd oddaje lokal swój na usługi tworzącym się Towarzystwom, Bractwom i Ligom. Trzeciem w tym komplecie było T-wo Wioślarskie, prowadzące również dla swoich członków ćwiczenia gimnastyczne. — Były to tylko koła gimnastyczne oficjalne, bez specjalnych ideowych przesłanek i dopiero ów przełom w historji Rosji 1905, poprzedzony klęską wojny japońskiej, dopiero zew wolności, zapoczątkowany w pochodzie narodowym, poruszył żywsze umysły i nakazał skrystalizowanie idei sokolej.

W dniu 7 listopada 1905 r. w mieszkaniu p. Karola Malczewskiego, Nowy Świat 17, zebrało się 39 osób, by, korzystając z pęknięcia kajdan dotąd krępujących, zorganizować Sokoła. Na przewodniczącego zebrania powołany został dr. Tadeusz Trzciński, na sekretarza dr. Władysław Osmólski i po ożywionej dyskusji postanowiono przystąpić do zrealizowania postawionego projektu na liczniejszem zebraniu osób, które zwołano na 10.XI i które miało uchwalić konkretny plan działania.

W oznaczonym dniu 145 osób, przybyłych do tegoż mieszkania i pod przewodnictwem Konstantego ks. Lubomirskiego, stwierdziło zgodnie, że Sokół oparty być musi na bezpartyjności i demokratyzacji społeczeństwa; bezpartyjność należy rozumieć w ten sposób, że do Sokoła należeć może każdy członek nawet najskrajniejszej partji pod warunkiem, że na terenie Sokoła propagandy politycznej w jakimkolwiek kierunku uprawiać, a nawet dyskusji na temat swoich lub cudzych przekonań politycznych wszczynać nie będzie; demokratyzacja społeczeństwa polegać ma na tem, że do Sokoła należeć może każdy Polak czci nieposzlakowanej, bez różnicy stanu i pochodzenia, zasłużyć zaś na wyróżnienie może tylko na mocy nienagannego sprawowania się w Sokole i poza nim. — Postanowiono zwołać legalne zebranie na 14.XI w Dolinie Szwajcarskiej. Tymczasem jednak reakcja rosyjska, przechodząc niemal do porządku nad ogłoszoną konstytucją rosyjską, wzięła rządy w swoje ręce i pozwolenia na zebranie odmówiono.

Projekt założenia Sokoła przedostał się jednak do wiadomości ogółu, zapisy sypały się setkami, a jednocześnie kółka gimnastyczne przy T-wach sportowych zwołały zebranie delegatów swoich na dzień 12.XI do sali T-wa Wioślarskiego, gdzie, po wyjaśnieniach przedstawicieli idei sokolskiej, postanowiono uważać Sokoła za założonego oficjalnie w dniu 10.XI 1905 r. i czekać jego dalszej działalności. W dalszym ciągu zebrania już w lokalu Sokoła wybraną została Komisja z poleceniem przedstawienia w terminie 2 tygodni gotowego statutu Sokoła; do Komisji wybrani zostali prezesi, względnie wice-prezesi T-w Cyklistów, Wioślarzy, Łyżwiarzy, pp. Fertner, Kobyłecki, Herlen oraz Dziewulski St. i Malczewski. Jednocześnie zapadło postanowienie przerwania do czasu ułożenia statutu napływających do biura Nowy Świat 17, zgłoszeń, których ilość wzrosła tymczasem do 6.000. Zgłoszenia te były różne i czasem dziwne; ponieważ przyjmowano wszystkie, znaleźli się nawet notoryczni szpicle i rzęzimieszkowie, naiwni i przebiegli, — dopytywano się, kiedy mundury będą rozdawane, kiedy broń, — czy zaraz ruszy się do boju, ile wynosi żołd, a ile wynagrodzenie za zwerbowanego nowego członka i t. p. Robota jednak segregacyjna wrzała, szła w całej pełni, setki gromadziły się w salach Doliny Szwajcarskiej, przez T-wo Łyżwiarskie użyczonej, i tu rozpoczęła się musztra kilkoma szeregami po setce i więcej liczącemi, tak, że nieraz 500—800 ludzi ćwiczyło jednocześnie. A jaka różnorodność była ćwiczących: obdarty przy elegancie, biedny przy bogatym, uczony przy analfabecie, a każdy — przejęty ważnością chwili.

Termin 2-tygodniowy, dany wyżej wymienionej Komi-

sji, upływał i grono druhów, nie mogąc doczekać się rezultatu, w dn. 27.XI w liczbie 28 i w dn. 29.XI w liczbie 66 zażądało wezwania Ogólnego Zebrania druhów na 5.XII, jednocześnie przenosząc ćwiczenia do sali Majewskiego na ulicę Nowy Świat 5 i pozbywając się jakiejkolwiek przykrywki.

Zebrani w sali Majewskiego w liczbie 91 postanowili stworzyć Sokoła niezależnie od wszystkich istniejących kółek i towarzystw i przystępując natychmiast do realizacji projektu, ogłosili się I gniazdem Sokoła imienia Tadeusza Kościuszki. Wobec tak zdecydowanego kroku kółko gimnastyczne przy T-wie Łyżwiarskiem zgłasza na temże posiedzeniu swoje przystąpienie do Sokoła, ofiarując mu swoje przyrządy do dyspozycji, i tworzy w następstwie gniazdo II im. Henryka Dąbrowskiego. Za tym przykładem p. Piekarski zgłasza przyłączenie koła 400 rzemieślników. — Na miejsce Komisji statutowej, która w terminie naznaczonym żadnego rezultatu swej pracy nie przedstawiła, wybraną zostaje druga, do której wchodzą pp. Popowski, Noskiewicz, Malczewski, Koszutski i Starzyński i ta, przystąpiwszy natychmiast do pracy gorączkowej, w terminie 10-odniowym przedstawia projekt normalnego statutu, wzorowanego na lwowskich, poznańskich i czeskich sokolskich statutach.

Zbliżeni w dniu 5-go grudnia druhowie wybierają wydział tymczasowy gniazda I, do którego wchodzą: prezes dr. Tadeusz Trzciński, zast. Kl. Starzyński, Konstanty Radkiewicz, sekretarz St. Popowski, zast. Henryk Janowski, skarbnik T. Koszutski, starosta K. Malczewski, naczelnik Max Frelich oraz J. Guirard, Straszak M., Kiersnowski K., York H. i Smoleński St:; w składzie tym pozostał wydział do czasu zwołania Ogólnego Zebrania, na którem powołani zostali: na prezesa Kl. Starzyński, sekretarza H. Brzostowski, na wydziałowych — W. Biron, K. Berensen, Cz. Jankowski, Goszczyński, dr. Kizler, T. Koszutski, Cz. Lisowski, K. ks. Lubomirski, W. Łebiński, Mikulski, Otto, K. Radkiewicz, Lenczewski, Smoliński, Staniszewski i Walc.

Gniazdo II pod patronatem generała Dąbrowskiego ukonstytuowało się w dn. 24.XII 1905 r. z członków koła gimnastycznego Łyżwiarskiego i wybrało komisję następującą, która w rzeczywistości była wydziałem gniazda: Emil Rauer — prezes, E. Twarowski — wice-prezes, E. Martens— skarbnik, Aleksy Chrzanowski — sekretarz, W. Stpiczyński — chorąży, A. Przybylski — gospodarz, B. Olszewski— naczelnik, H. Chełmicki — zastępca jego, F. Nowicki i inni.

Członków czynnych liczyło w najlepszym okresie 1200 (w tem kobiet 240), popierających 100. Ćwiczenia odbywały się w Dolinie Szwajcarskiej, latem na Dynasach; gniazdo posiadało własną orkiestrę, grupę mandolinistów i grupę kolarzy. W czasach po zamknięciu Sokoła miało II gniazdo doskonałą przykrywkę w T-wie Łyżwiarskiem do czasu, kiedy wskutek zarzutów, postawionych ze strony Związku Sokoła, Wydział nie podał się do dymisji i spowodował rozwiązanie się gniazda; część druhów, niezadowolona z takiego obrotu, zespoliła się później pod nazwą gniazda XI, które ćwiczyło jako zakład dr. Fiszera, mając tegoż na czele



Siedzą od prawej: p. Rudziński, dh. Szeiner — prezes Zw. Sokoła Czeskiego, St. Popowski — prezes Zw. Sokoła Polskiego i Kl. Starzyński. Stoją od prawej: T. Koszutski, B. Olszewski.



Siedzą od lewej: A. Barczewski, T. Koszutski, C. Lisowski, J. Szwejcer, St. Vander Noot Krjeński, St. Korwin Szymanowski i Ed. Kłosowski. Stoją od lewej: K. Wajzbun, St. Olszewski, J. Piszczatowski, St. ks. Lubomirski, W. Żukowski, d. Pożyński i St. Lipczyński.

swem jako prezesa; jeszcze później gniazdo II-e wznowiło swoją działalność w postaci T-wa Miłośników Sportu z dr. Rudzińskim — prezesem.

Gniazdo III pod patronatem Jana Kilińskiego zorganizowane zostało z drużyn młodzieży rzemieślniczej i robotniczej w dn. 27 grudnia 1905 r. z wydziałem: Kobyłecki L. — prezes, A. Fertner — wice-prezes na czele.

Również w grudniu 1905 r. ukonstytuowało się gniazdo IV, ćwiczące przy T-wie Cyklistów na Dynasach z naczelnikiem Karolem Noskiewiczem, prezesem Janem Rudnickim, obecnym posłem, i ś. p. Antonim Fertnerem oraz stałym skarbnikiem czwartaków Ignacym Wądowskim na czele; gniazdo zawsze przodowało w intensywności ćwiczeń i przodowników. Wkrótce powstało gniazdo kobiece „Grażyna" z prezeską Stillerową i Kuczalską na czele.

Gniazdo VI zorganizowało się w Pruszkowie, wkrótce jednak zaprzestało działalność swoją a numer jego (VI) odziedziczyło gniazdo, zorganizowane na Pradze przez d-ha Emila Rauera jako prezesa.

Późniejsze gniazda tworzyły się na prowincji w Grodzisku, Łowiczu i złączone z warszawskiemi tworzyły Okrąg I, na którego czele stał prezes Jan Rudnicki, później Rudziński, Rauer, Koszutski i inni.

Okrąg II tworzyło Zagłębie Dąbrowskie, które, mając bliski przykład z Krakowa i Pragi, organizowało się nader sprężyście i licznie z prezesem ś. p. Kazimierzem Srokowskim i naczelnikami Cielińskim i Radzikowskim na czele. Zarówno ilością gniazd jak ilością druhów i sprężystością organizacji należy się im pierwsze miejsce w ówcześnie utworzonym Związku, — dowodem czego, że po zrzeczeniu się mandatu w 1918 r. przez ś. p. dh. Popowskiego, wybrany zostaje jednogłośnie dh. ś. p. Kazimierz Srokowski prezesem Związku (w b. Kongresówce). W roku 1919 cały Okrąg II, zmilitaryzowawszy się, stanął z bronią u nogi na Górnym Śląsku i brał czynny udział w obronie tej czarnej perły naszego Państwa.

Okrąg III Łódzki; równocześnie z Warszawą powstał Sokół w Łodzi i równocześnie z nim został zamknięty. Istniał on jednak nadal pod przykrywką zakładu gimnastycznego u Surowieckiego, chóru śpiewaczego i t. p.; głównymi organizatorami byli dh. Lindner i późniejszy premjer dh. Skulski. W 1919 r. znaczna część druhów złączyła się z Okręgiem II w walce o Śląsk. Egzystował również Okrąg IV Lubelski i pracował, walcząc z dużemi trudnościami miejscowemi.

Wszystkie Okręgi złączone były organicznie w Związek, na którego czele stał początkowo dh. Kobyłecki, następnie dh. Popowski — prezes, i dh. Karol Noskiewicz — naczelnik; w 1918 r. po zrzeczeniu się tych dwóch mandatarjuszów został prezesem dh. Kazimierz Srokowski, naczelnikiem dh. Bolesław Olszewski.

Na dzień 13 kwietnia 1919 r. zwołany był zlot delegatów międzydzielnicowych do Warszawy i na nim nastąpiło uroczyste otwarte połączenie 3 dzielnic Polski w jeden ogólny Związek, na którego czele stanął z wyboru dh. Bernard Chrzanowski (Poznań), delegatami z Kongresówki wybrani zostali: Rudziński, Skulski i Biega. Chociaż już poprzednio egzystowała nieoficjalna komisja międzyzwiązkowa, to jednak obrady jej i decyzje były bardzo utrudnione z powodu koniecznej jeszcze tajności obrad, zwłaszcza delegatów z Poznańskiego.

Dziwne wspomnienie nasuwa się z lat 1906-7. Zjawił się na gruncie warszawskim znany działacz rosyjski Rodziczew oraz generał Babiański z propozycją utworzenia wspólnego

sokoła wszechrosyjskiego. Wypiliśmy sporą ilość butelek omszałych u Fukiera, wpisaliśmy się wspólnie na wieczną rzeczy pamiątkę do księgi specjalnej, ale na propozycję odpowiedzieliśmy odmownie. Innym razem przejeżdżał prezes Związku Wszechsłowiańskiego Sokoła w Pradze Czeskiej i proponował nam wstąpienie do tegoż związku; na to zgodziliśmy się pod warunkiem, aby Sokół rosyjski przyznał nam równe prawa, co zdawało się d-wi Szejnerowi zupełnie naturalnem. Pojechał pełen nadziei do Moskwy i Petersburga, ale wracając, ominął Warszawę, ażeby się nie tłumaczyć z doznanej porażki: została wspólna fotografja i ofiarowane nam znaczki wszechsokolskie.

Rok 1914, rok klęski wojny wszechświatowej — a dla nas wojny o wolność, zastał Sokoła właściwie nieprzygotowanym, a jednak doniosła rola spadła na naszą organizację. Już ostatniego dnia lipcowego nie było władz rosyjskich w Dąbrowskiem Zagłębiu, niemieckie zaś wojska jeszcze nie wkroczyły, wtedy Okrąg II mobilizuje szeregi sokolskie, stawia warty wszędzie, gdzie tego okazuje się potrzeba i, pełniąc służbę bez przerwy i bez zarzutu, nie dopuszcza do jakichkolwiek nieporządków.

Wprawdzie Niemcy w krótkim czasie odbierają Straży broń, jednak krytyczne chwile minęły bez zaburzeń. W Warszawie po naradach działaczów społecznych tylko Sokół, jako instytucja karna, zostaje uznany odpowiednim do zorganizowania straży bezpieczeństwa. Zarówno w r. 1914-15 przy wejściu Niemców, jak i w r. 1918 przy rozbrojeniu i wypędzeniu ich, jak w 1920 podczas najazdu i odparcia bolszewików. Straże tworzone były prawie wyłącznie przez władze sokolskie, warty spełniane w znacznej części przez druhów, a najodpowiedzialniejsze stanowiska musiały przyjąć na siebie sokolskie szarże; ile nocy nieprzespanych, ile uznojenia w deszczu, ile chwil przykrych i niebezpiecznych się przeżyło, trudno byłoby wyliczyć, tem bardziej, że wypadałoby każdemu chwalić siebie lub swego najbliższego, a to nie każdemu łatwo przychodzi. Należy jednak wspomnieć choć teraz, że w miejscach niebezpiecznych niejeden druh padł przeszyty kulą moskiewską, jak np. na ul. Tamce — Chomentowski Wacław, że niejednokrotnie różni ludzie próbowali odebrać karabiny posterunkowym, którzy — bądźmy szczerzy — częstokroć nie umieli się niemi posługiwać; silna ich jednak postawa udaremniała niecne próby.

Trudno dziś robić przypuszczenia, coby się stać mogło, gdyby członkowie Straży byli niekarni, gdyby lekceważyli sobie posterunki, a przecie zdarzało się stać na warcie po 17 godzin bez zluzowania, jak to miało miejsce z oddziałem kadrówki pod Stefanem ks. Lubomirskim na forcie Cytadeli; coby się stało, gdyby różne męty społeczne, nie czując silnej ręki, wyległy na ulce i rozpoczęły rabunek: niewiele na to czasu potrzeba, a przykłady mieliśmy już choćby w 1905 roku.

Niewielu zapewne osobom znany jest zamiar władzy rosyjskiej ukarania komisarzy polskich, naznaczonych zresztą w najzupełniejszem z nią porozumieniu, za to, że dn. 17 października 1914 r. byli oni gotowi objąć komisarjaty, gdyby ofensywa niemiecka od Piaseczna była się udała. W ostatniej jednak chwili nadeszły pułki syberyjskie, które Niemców odrzuciły. W następstwie Rosjanie mieli ochotę nie przyznać się do paniki, delegowano nawet kamerjunkra Szulmana do zbadania tej „kramoły" i tylko stanowcza postawa wszystkich wezwanych komisarzy polskich udaremniła ten niecny zamiar i uchroniła ich od kary.

Mało także znanym jest fakt, że dn. 9-go sierpnia 1920 r. rozlepiony był rozkaz o zmilitaryzowaniu Straży tej treści: „1) Organizacje Straży Obywatelskiej m. st. Warszawy

(Dalszy ciąg p. na str. 38)



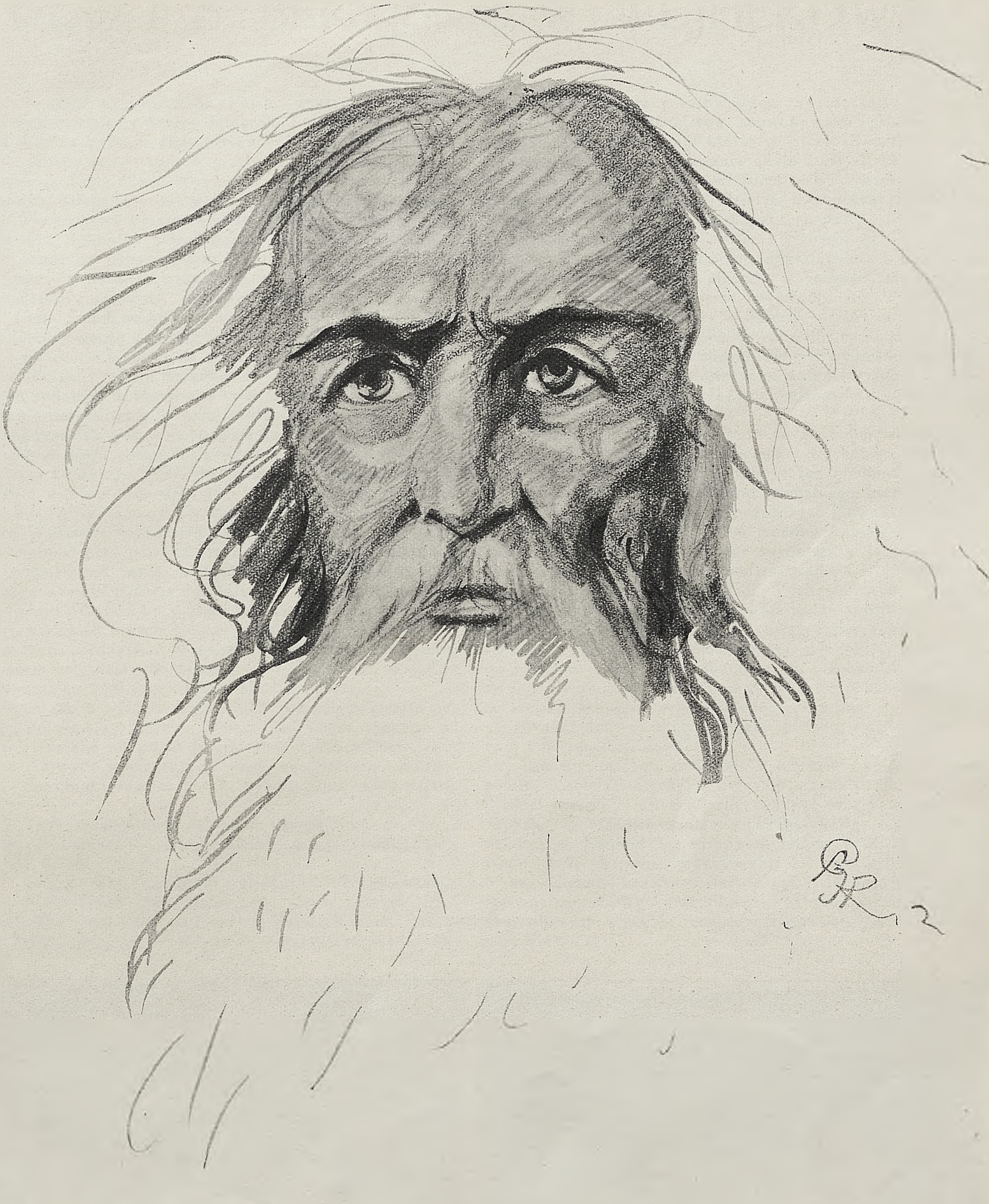
Pluton chorążych gniazda „Warszawa I" z prezesem Starzyńskim i naczelnikiem Dobrowolskim.



K S I Ą Ż Ę

BOHATER POWIEŚCI M. H. SZPYRKÓWNY „PROROK Z PUSZCZY"

Rysował Antoni Gawiński. *Klisza wyk. w Zakł. W. Główczewskiego.*



PROFESOR NIEZŁOM

BOHATER POWIEŚCI M. H. SZPYRKÓWNY „PROROK Z PUSZCZY"

Rysował Antoni Gawiński. *Klisza wyk. w Zakł. W. Główczewskiego.*

DZIECI SYBERYJSKIE W WEJHEROWIE

Z powodu przyjazdu do Polski wycieczki Polaków z Ameryki podajemy szereg fotografij i pobieżny opis Zakładu Wychowawczego Dzieci Syberyjskich w Wejherowie[1]).

Pragniemy w ten sposób przypomnieć, że zorganizowane przez p. Annę Bielkiewiczową w r. 1919-m na Dalekim Wschodzie dzieło ratownictwa ludności polskiej na Syberji, które Wychodztwo Polskie skutecznie popierało przez blisko 3 lata, dokonało zamierzonego celu. Dolary wysyłane swego czasu na Syberję przez Wydział Narodowy, ówczesny centralny związek wszystkich społecznych organizacyj Wychodztwa, uratowały życie ogromnej ilości Polaków, a dla wielu z nich umożliwiły nawet i powrót do Ojczyzny. Szczególnie owocną okazała się ta pomoc dla dziatwy polskiej najwięcej cierpiącej od panującej wówczas anarchji na Syberji. Polski Komitet Ratunkowy, który zwracał się o pomoc do rodaków w Ameryce, poza udzieleniem niezbędnej pomocy potrzebującym na miejscu na Syberji, zdołał zorganizować ponadto jeszcze repatrjację bezdomnych dzieci i sierot, których przez szereg lat zbierał na rozległych obszarach prowincyj Dalekiego Wschodu, położonych między jeziorem Bajkał a morzem Japońskiem i ewakuował je najpierw w liczbie 370 do Ameryki, oddając je tam na dwa lata pod opiekę Wydziału Narodowego, a potem większą ilość dzieci ewakuował przy pomocy Japonji do Polski bezpośrednio.

Przypomnijmy sobie, że były to czasy kiedy ofensywa Kołczaka odcięła Syberję od Europy i w konsekwencji oddała Daleki Wschód na pastwę czerwonych, białych, zielonych i wszelkich innych kolorów partyzantów oraz różnych przygodnych bandytów, burzących przez parę lat ogniem i mieczem cały kraj, obracając wiele miejscowości w perzynę, puszczając z dymem całe miasta.

W takim to właśnie czasie, kiedy od całego świata odciętym Polakom na Syberji, zdawało się, niema żadnego ratunku, że znikąd nie może przyjść pomoc, Wychodztwo Polskie w Ameryce wyciągnęło przez ocean Spokojny rękę pomocy i dało możność rozwinąć na Syberji pracę ratownictwa.

[1]) Opis szczegółowy Zakładu, umieszczony w Nr. 2 „Szkoła Powszechna" — kwartalniku pedagogicznym Ministerstwa W. R. i O. P.

Uwaga: Na utrzymanie Zakładu Wychowawczego Dzieci Syberyjskich łoży Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej 60% wszystkich wydatków i Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu 40% wszystkich wydatków.

Rozwinięcie pracy ratowniczej, zawdzięczając tej szlachetnej pomocy Wychodztwa, spowodowało wówczas i pozyskanie pomocy Japonji, której w istocie Komitet Ratunkowy zawdzięcza repatrjowanie około 1000 dzieci.

Dzisiaj rodacy z Ameryki mogą ujrzeć owoce swej pomocy: uralowaną na Syberji dziatwę, kształcącą się na pożytecznych obywateli w odzyskanej Ojczyźnie.

Dzieci polskie, repatrjowane z Syberji, były z natury rzeczy wielce pod względem ich wykształcenia i wychowania zaniedbane, a z tego powodu w rozwoju tak umysłowym, jak i fizycznym znacznie opóźnione.

Fakt wydostania dzieci z Syberji, uratowania ich dla Polski, a w wielu wypadkach nawet i dla życia samego, co w atmosferze głodu i anarchji na Syberji wydawało się nam najważniejszem i najtrudniejszem zadaniem, wysunął w Polsce bardzo poważne inne zadanie, mianowicie wykształcenie i wychowanie tych dzieci.

Zadanie to o tyle było trudnem, że zanim można było przystąpić do należytego kształcenia i wychowywania dzieci, trzeba było fizyczne i umysłowe ich niedomagania naprawić i doprowadzić je do stanu normalnego. Pierwsze dwa lata istnienia Zakładu zostały poświęcone głównie tej pracy.

Należyte odżywianie, latem morskie kąpiele i jak najobfitsze korzystanie ze świeżego powietrza w lesie i na pobliskich łąkach, stały się naszym programem w zamierzonej pracy, po zorganizowaniu Zakładu Wychowawczego dla tych dzieci w Wejherowie. Na początku usilne odżywianie wywoływało w organizmach dzieci pewne zaburzenia, znaczną ilość wyprysków i wyrzutów nieraz po całem ciele. Chciwość do jedzenia u dzieci była fenomenalna i dochodząca często do łapczywości, która z trudem dawała się pohamować. Poza tem odmienny od syberyjskiego sposób naszego odżywiania również dużo na samym wstępie kłopotu sprawiał i dziatwie i personelowi Zakładu.

Tak np. dziatwa pochłaniała olbrzymie ilości samego chleba, natomiast niechętna była do jarzyn. Tęskniła do rosyjskich „szczi" i „kaszy", nie gustując wcale w polskich zupach. Z niedowierzaniem smakując kawę, oglądała się dziatwa na herbatę tak rozpowszechnioną w Rosji. Zresztą trudno było dzieciom przyzwyczaić się jeść umiarkowanie 5 razy dziennie, zamiast dwóch, a nawet jednego na Syberji razu bardzo obfitego przy obiedzie napychania się, po którym wlewano w siebie rosyjskim zwyczajem „czajek" kilka razy dziennie.



Jedna z wielu grup dzieci, sprowadzonych w r. 1923 do Wejherowa z Dolska.



Ta sama grupa dzieci na początku roku 1924.

Dłuższy czas dzieci, po każdem pożywieniu, zjadając strawy tyle, ile chciały, zabierały cichaczem to, czego już zjeść narazie nie były w stanie i pokryjomu zakopywały przezornie resztki w ziemi, gdzieś na dziedzińcu lub w parku. Widocznie głęboko wraziły się w ich pamięć okresy dotkliwych głodówek na Syberji, podczas których tylko ukryte w ziemi przed częstemi rekwizycjami zapasy żywności ratowały im życie.

Po 6 miesiącach usilnego odkarmiania można było przejść do odżywiania normalnego, a po 12—15 miesiącach dziatwa zaczęła dochodzić do mniej więcej normalnego stanu fizycznego. Tylko anemiczność dłużej nie ustępowała i dopiero po 2-ch latach uporczywego stosowania różnych zabiegów leczniczych: słońca, morza, lasów, a szczególnie gimnastyki zdrowotnej, gier i zabaw sportowych, zaczęły się zjawiać na policzkach dzieci pierwsze rumieńce, świadczące o tem, że nareszcie i krew dzieci zaczyna powoli dochodzić do stanu normalnego.

Wśród najmłodszych dzieci sporo było bardzo na zdrowiu osłabionych, więc trzymaliśmy je jak najwięcej na świeżem powietrzu. Nawet powszechną szkołę od jesieni roku 1924 staraliśmy się jak najdłużej trzymać na otwartem powietrzu, pod drzewami w alejach parku, w dnie zaś pochmurne, chroniąc dziatwę od deszczu w altanach. Szkoła na otwartem powietrzu nasunęła nam narazie sporo trudności, zwłaszcza ze względu na ostry klimat morskiego wybrzeża naszej najdalej na północ wysuniętej polskiej dzielnicy. Jednak stopniowo przeszkody zostały pokonane i już z wiosną b. r. szkoła na otwartem powietrzu funkcjonuje zupełnie pomyślnie.

Pozytywne wyniki, osiągnięte po dwóch latach pracy były widoczne. Nawet fotografje dzieci, zrobione w tydzień po przewiezieniu ich w 1923 roku do Wejherowa i następnie zdjęcia zrobione z tych samych dzieci w roku 1924 w dostatecznym stopniu wyniki „odrestaurowania" ujawniają.

Jednocześnie z troską o fizyczną odbudowę dziatwy staraliśmy się zorganizować pracę nad odbudową psychiki dzieci. Pod tym względem zaniedbanie było, oczywiście, jeszcze większe. Nawet rozwój umysłowy dzieci był wybitnie zapóźniony. Dla przygotowania dziatwy naprzykład do szkół normalnych, trzeba było przeprowadzić specjalną pracę jej dokształcania. Szereg profesorów szkół wejherowskich łaskawie ofiarował swoją bezinteresowną pomoc i skutecznie przyczynił się do zorganizowania dla przeszło 200 dzieci specjalnego kursu dokształcającego. Latem studenterja, przybyła na wywczasy do ziemi kaszubskiej, również chętnie zgodziła się bezinteresownie udzielać korepetycyj poszczególnym grupom dzieci.

Zawdzięczając tej pomocy większość dzieci wstąpiła już w jesieni roku 1923 do normalnych szkół Wejherowa: Seminarjum Nauczycielskiego, Gimnazjum Szkoły Wydziałowej, Handlowej, Rolniczej i starszych klas szkoły powszechnej. Niezdolnych do nauk około 35—40 starszych dzieci skierowano do różnych rzemiosł: stolarstwa, ślusarstwa, garbarstwa, piekarstwa, krawiectwa, szewctwa, introligatorstwa, bieliźniarstwa, koszykarstwa i innych rzemiosł.

Najważniejszą sprawą w zakresie umysłowego kształcenia dzieci było dostarczenie niezbędnej ilości, a dobrej jakości książek do czytania. Głód pod tym względem odczuwał się bardzo silny. Z ofiarności publicznej sformowana w zakładzie bibljoteka beletrystyczna, licząca około 3.000 tomów, ma ten głód zaspokajać i zaopiekować się ułożeniem umysłowego wzrostu dzieci. Wypełniło to jednak zaledwie część podjętego zadania odrestaurowania psychiki dzieci.

Należało wszelkiemi możliwemi sposobami zmienić te pojęcia u dzieci — zaczątki ich poglądów na otaczające życie, które nosiły na sobie wyraźne piętno rusyfikacji.

„Rosyjskie" weltschmerzen i nitszeanizm, tak rozpowszechnione w Rosji w swoistej formie, należało zastąpić słoneczną energją racjonalnego optymizmu, pogodą ducha i tem zaufaniem dzieci do otoczenia, na którem można budować zrąb altruizmu i prawdziwego uspołecznienia. Trzeba było rosyjskie zapatrywanie na pracę, jako na ciężar i przekleństwo, odmienić, aby wpoić w młodociane serca i umysły zdrowe pragnienie każdej pracy i umiłowania jej, jako przejawu najpiękniejszej i najpotężniejszej zdolności człowieka, która jest dla niego źródłem dobrobytu i szczęścia na ziemi. Nauczyć miłować pracę i nauczyć pracować racjonalnie, każdą pracę wzbogacając czynnikiem rozumnej organizacji, dającej maximum wydajności i minimum straty.

W programie więc wychowania naszej młodzieży trzeba było wziąć pod uwagę te zgubne wpływy niedawnej przeszłości i dla odrestaurowania samego pnia charakteru polskiego usterki, poczynione w nim niewolą, naprawić, rany zadane — wygoić.

Dla tego rodzaju pracy nie dość było zabezpieczyć dzieciom należytą lekturę, nie dość było otoczyć je ludźmi o zdrowych poglądach na świat i życie. Trzeba było znaleźć możność kontrolowania samej duchowej jaźni wzrastającej dziatwy i oddziaływania na jej formujące się charaktery w codziennym życiowym trybie. W samem ich życiu wysunąć im najpotrzebniejsze zagadnienia życiowe i popchnąć dziatwę ku racjonalnemu rozwiązaniu tych zagadnień.

W tym właśnie celu wprowadziliśmy w Zakładzie harcerstwo i w oddziałach harcerskich została skupiona najlepsza część młodzieży i dziatwy, która mogła mieć naturalny pęd ku wszelkim pięknym ideałom.

Młodzież ta, mając możność sama siebie organizować i doskonalić się w zaletach życiowych, stwarza stopniowo wśród dziatwy Zakładu ruch umysłowy ku lepszemu życiu— ku ideałom i z mniejszem lub większem powodzeniem prowadzi walkę ze złem, z lenistwem, niedbalstwem i z każdym występkiem.

Niezależnie od pracy harcerskiej, aczkolwiek w myśl jej ideologji, wprowadzony został do Zakładu, jako jeden z najpoważniejszych środków wychowawczych, czynnik samopomocy. Starsza dziatwa opiekuje się młodszą zarówno w samym Zakładzie, jak i poza nim pod każdym względem: i w nauce i w gospodarstwie, w pełnieniu różnych codziennych obowiązków, i w grach i w zabawach. Paroletnia praca nad stworzeniem samopomocy we wszystkich możliwych dziedzinach życia wychowańców w Zakładzie, przekształciła gromadę 300 dzieci w jedną dużą rodzinę, spojoną uczuciem wzajemnego przywiązania, a nawet i więcej, bo budzącem się już uczuciem wzajemnej miłości i sentymentu tego „gniazda rodzinnego", którego większość z nich była zupełnie pozbawiona, a które na formowanie charakteru przyszłego człowieka wywiera wpływ jeżeli nie zawsze decydujący, to dominujący nad wszelkiemi innemi wpływami.

Wychowanie w atmosferze ogniska domowego, jak wiadomo, wytwarza niezliczoną ilość nici, wiążących wszystkich członków rodziny w jedną całość, posiadającą pewien typ kulturalny, barwę intelektualną i określony, pulsujący rytm życia codziennego. Takie gniazdo rodzinne wywiera stały wpływ na każdego z jego członków, nieraz daleko sięgający w przyszłość, wychodzącego z tego gniazda człowieka.

Dla dzieci bezdomnych, zebranych dowolnie w jedną wielką gromadę w Zakładzie Wychowawczym, stworzenie takiego domowego ogniska, któreby mogło stać się dla nich gniazdem rodzinnem, jest oczywiście rzeczą poprostu niezbędną.

Uświadamiając sobie całą powagę i konieczność tego zadania, zdążamy w Zakładzie Syberyjskim ku temu celowi wszelkiemi sposobami. Ułatwia nam pracę ta okoliczność, że dzieci łączą między sobą wspólne tragiczne przeżycia na

Ojaśnienie zdjęć fotograficznych na stronicy prawej: W godzinach poobiednich czas dziatwy poświęcony jest grom, zabawom i ćwiczeniom gimnastycznym. Po środku: najmłodsza dziatwa w strojach gejsz urządza tańce japońskie.



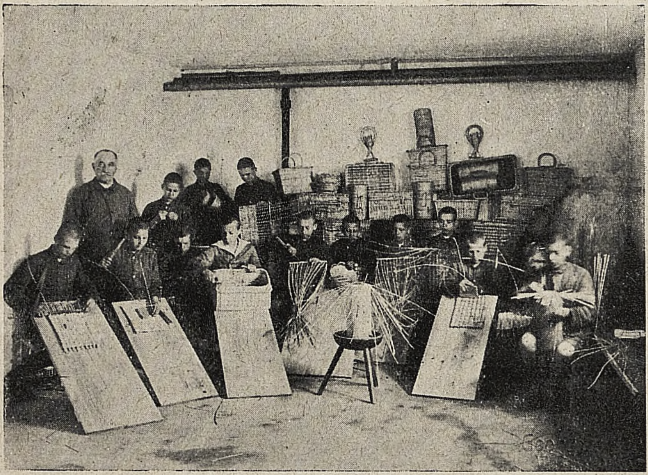




Syberji, wspólna dola i niedola tułaczy na obczyźnie, następnie wspólny pobyt w kwiecistej cudnej Japonji, oraz dla wielu z nich dwuletni jeszcze pobyt w Ameryce.

Celem naszym jest wzbudzenie w dzieciach takiego uczucia, które ogrzeje wszystkich ciepłem domowego ogniska, a serca ich spoi w jeden łańcuch rodzeństwa — braci i sióstr, któremi pozostaną na całe życie. A wówczas da się dziatwie przedewszystkiem to, co im życie i wojna światowa odebrała — rodzinę; na jej łonie zaś prawdziwe, choć w większości wypadków spóźnione dzieciństwo, które dla wielu bywa najszczęśliwszym okresem życia na ziemi: — bajką i legendą wieku dojrzałego, cudem wyśnionym, o którym nie wiedzą, że będzie dusze ich karmił i poił przez całe ich przyszłe, dojrzałe „życie prawdziwe".

Osiągnąwszy pewne rezultaty w tym kierunku, przystąpiliśmy do tworzenia z pośród dzieci tak zwanego w Zakła-













1. Po śniadaniu dziatwa wyrusza do pracy w warsztatach rzemieślniczych i do szkół. Koszykarski warsztat w Zakładzie.
2. W Zakładzie Wychowawczym w Wejherowie dziatwa wstaje o 6 rano i co dzień myje się pod prysznicem od stóp do głów,
3. Śniadanie i obiad w jadalni przygotowuje zespół dyżurnych pod kierownictwem starszej odpowiedzialnej z półpersonelu.
4. Szwalnia w Zakładzie własnemi siłami obszywa wszystkie dzieci. 5. Eurytmika. Plastyczne odtworzenie „A jak poszedł król na wojnę", ułożone przez p. Arturową Górską. 6. Eurytmika. „Jak to pięknie, jak to ładnie".







dzie półpersonelu. Inteligentniejsze z pomiędzy najstarszych dzieci jednostki tworzą teraz pokaźne grono około 25 osób, powołane do pomocy nielicznemu dotąd personelowi (na 300 dzieci 6 osób personelu). W ten sposób sama dziatwa do pewnego stopnia „prowadzi Zakład", sama sobie coraz lepiej życie w nim urządza i jest za nie odpowiedzialna zarówno przed personelem, jak i przed wszystkiemi innemi dziećmi.

Gdy samopomoc, zbliżając wzajemnie dziatwę, rozwija w niej altruizm i uspołecznienie, praca dzieci w charakterze półpersonelu stwarza w nich poczucie odpowiedzialności, budzi inicjatywę i energję, które mają przysposobić je do samodzielnego w przyszłości życia.

Pierwiastek uczynności u poszczególnych starszych dzieci w stosunku do młodszego „rodzeństwa" w codziennem ich życiu znajduje coraz większe zastosowanie; dzieci stają się coraz użyteczniejszemi względem siebie, przekształcają się stopniowo w organiczną całość, nierozerwalnie zrośniętą z życiem tej swojej nowej „rodziny" — stają się istotnie potrzebnemi dla Zakładu. Jeszcze jeden krok dalej w tym kierunku a zauważymy już nowy objaw uspołecznienia: kto ze starszej dziatwy nie okaże się użytecznym i potrzebnym dla Zakładu, stanie się dlań zbytecznym. Zakłada to już fundament w psychikę przyszłego człowieka - obywatela, budzi w nim obowiązek być pożytecznym dla społeczeństwa Rzeczypospolitej. A to przecie jest głównym celem wychowania dzieci — przyszłych obywateli Państwa.

SZTANDAROWI CZEŚĆ.

Ostatnie nuty wieczornej pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy" już przebrzmiały w zgodnym chórze kilkuset dzieci, zebranych na modlitwę w dużej sali Zakładu. Zalega spokojna cisza, wśród której nagle brzmi kilka głosów donośnej komendy w różnych miejscach sali. „Drużyna trzecia, baczność", wydziela się sopran jakiejś dziewczyny; gdzie indziej tenor chłopaka góruje: „Równaj! W prawo zwrot". W pobliżu energiczny alt starszej dziewczynki rytmicznie odbija: „Kryj... Do sztandaru naprzód... marsz..."

Przed chwilą modlący się, rozlany równą masą po całej sali tłum kilkuset dzieci pręży się, pęka w kilku miejscach, tworząc między sobą wolne korytarze i rozłamuje się na zwarte prostokątne bryły drużyn, które w marszu miarowym krokiem opuszczają kolejno salę w szyku niby wojskowego pochodu. Jedna za drugą drużyny, na donośną urywaną komendę swoich drużynowych-dzieci, opuszczają pawilon i podążają na środek dziedzińca, gdzie ustawiają się czworobokiem dokoła podniesionego na wysokim maszcie sztandaru. Ostatnie piąta i szósta drużyny sprawnie zajęły jednym ruchem swoje miejsca, równając na proste linje z poprzedniemi drużynami. Ostatniemi wyrównywają trochę opieszale oddziały nie-harcerzy. Słychać cicho powtarzane komendy... wyrównaj... postawy...

(Ciąg dalszy p. na str. 38)

Objaśnienie zdjęć fotograficznych umieszczonych na odwrotnej stronicy: Dla najmłodszej dziatwy istnieje przy Zakładzie Szkoła Powszechna, w której nauka jesienią i wiosną odbywa się na otwartem powietrzu w alejach parku lub w altankach. Pośrodku widzimy zdjęcie dziatwy syberyjskiej podczas pobytu w Japonji w m. Osaka.



Po modlitwie rannej przy podniesieniu Chorągwi Narodowej wszyscy dokoła zgrupowani oddają „Cześć Sztandarowi". Tak samo wieczorem przy opuszczaniu Chorągwi Narodowej, po modlitwie wieczornej.

DILLON I JEGO CZEK

W połowie czerwca r. b. bawił w Warszawie p. Clarence Dillon, szef domu bankowego Dillon, Read et Co. w Nowym Yorku; bank ten sfinansował 50-cio miljonową polską pożyczkę państwową. Stąd nazwisko p. Dillona jest już znane szerszemu ogółowi polskiemu.

W pełnym rozkwicie sił i zdrowia, bo liczący zaledwie 43 lata, p. Clarence Dillon wybił się w ostatnich czasach na czołowe stanowisko w licznych szeregach finansistów amerykańskich. Zaczął z niczego. Syn biednych rodziców, normalnie przeszedł przez szkołę średnią i uniwersytet Harvardski. W czasie studjów umiłował świat sztuki i piękna. Jedzie przeto do Paryża i Rzymu, by tam całkowicie oddać się pracy nad historją malarstwa, architektury i literatury. Po kilku latach pobytu w Europie wraca do Ameryki. Względy matrymonjalne zmuszają go do zastanowienia się nad sposobami utrzymania żony i rodziny. Sztuka — cudna rzecz, lecz handel jest pewniejszy, jeżeli chodzi o urządzenie sobie życia pięknego. Kolejno pracuje w różnych branżach aż do r. 1914, w którym to czasie dostaje posadę w chicagowskim biurze nowojorskiego domu bankowego William A. Read et Co.

Tutaj znalazł nasz niedoszły artysta i literat odskocznię w świat wielkich finansów. W tempie iście amerykańskiem awansuje on z niższych stanowisk biurowych na coraz to wyższe. W r. 1916 angażują go już do centrali nowojorskiej. W owym czasie p. Dillon, wykorzystując wyjątkowo ożywioną konjunkturę giełdową w Ameryce, dorabia się już trochę pieniędzy, zostaje udziałowcem banku, a w krótkim czasie, wskutek śmierci szefa i właściciela banku p. W. Reada, wybierają go udziałowcy na prezesa zarządu i ster interesów przedsiębiorstwa przechodzi całkowicie w jego ręce.

W dniu 1 maja r. b. czek gotówkowy na 146 miljonów dolarów, wystawiony przez dom bankowy Dillon, Read et Co. i własnoręcznie podpisany przez szefa banku p. Dillona, zadziwił dzielnicę finansową Nowego Yorku, tę słynną na świat cały ulicę Wall Street, która odwykła już od niespodzianek, albowiem ma ich codziennie zbyt wiele.

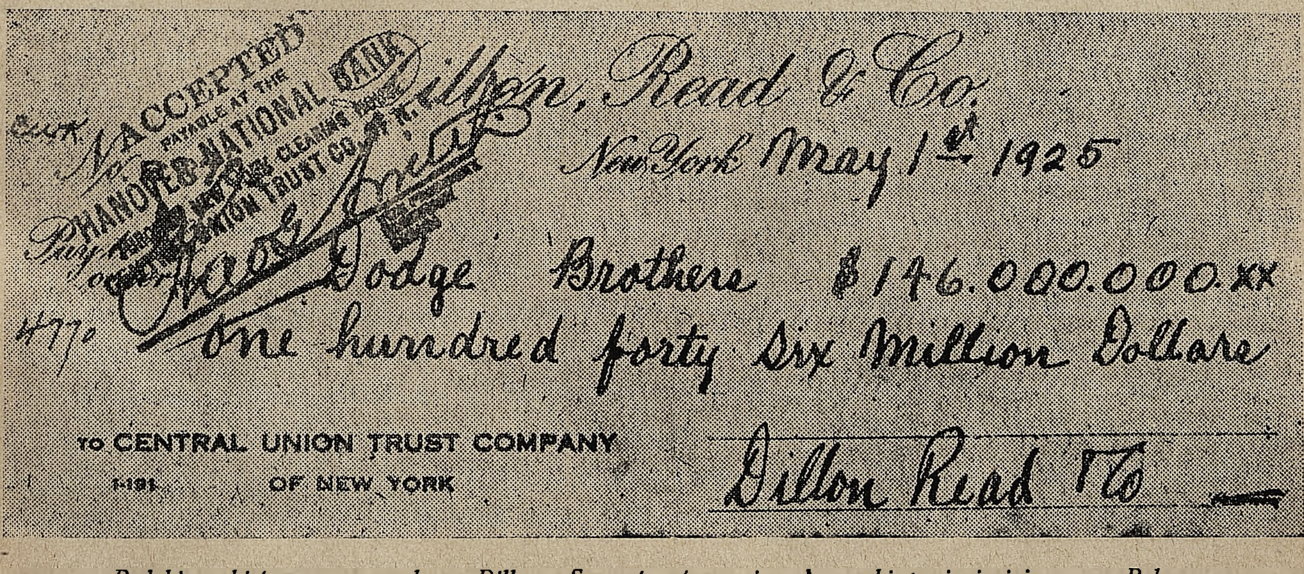
Forda, jego nazwisko i działalność znamy wszyscy. Natomiast nie wielu jest takich, którzy wiedzą, że Ford, bardzo być może, nie byłby tym genjuszem organizacji wytwórczości ludzkiej, gdyby nie współpraca jego z braćmi Janem i Horacem Dodge (czytaj Dodż).

Byli to dwaj przemyślni chłopcy, urodzeni mechanicy, którzy od dzieciństwa zawsze nad czemś majstrowali i wkońcu, w małem podówczas miasteczku Detroit, otworzyli warsztat mechaniczny.

Było to w czasie, kiedy Ford trudził się nad pierwszym swoim samochodem, zwłaszcza zaś nad silnikiem spalinowym. Zwrócił on uwagę na warsztat Dodżów i odtąd już, t. j. od 1900 r. losy ich splotły się tak szczelnie, że trudno orzec, gdzie kończy się Ford i zaczyna się działalność Dodżów lub odwrotnie. Tę trójkę mechaników dopełniał jeszcze czwarty filar potężnych zakładów Forda — buchalter James Couzens, obecny senator Stanów Zjednoczonych, który organizował pracę kalkulacyjną i wogóle buchalteryjną. Był to tak idealnie zgrany kwartet w dziedzinie organizacji wielkiego przemysłu, jakiego historja gdzie indziej wykazać nie może.

Do czasu jednak tylko mogły z sobą przebywać te silne indywidualności. Ford uparcie trzymał się swej idei: dać możliwie najtańszy, a więc i najprostszy samochód. Dodżowie natomiast parli w kierunku wytwarzania samochodu większego, wygodniejszego, o więcej eleganckim wyglądzie. Rozeszli się. Bracia Dodż postawili na swojem. W tem samem mieście Detroit, tuż u boku Forda, w r. 1914, przystępują do budowy własnych fabryk. Po kilku latach, zalewając prasę amerykańską reklamą, zdobywają zdecydowanie rynek amerykański dla swych samochodów. Sukces był kompletny. I kiedy Ford w ostatnim czasie wypuszcza dziennie około 7.000 maszyn, firma Dodge Brothers produkuje codziennie około tysiąca samochodów po cenie znacznie wyższej od fordowskich.

W r. 1920 obaj bracia umierają. Przedsiębiorstwo przechodzi w spadku na żony ich. Pragnąc się wyzbyć kłopotów, obie wdowy zdecydowały się je sprzedać. Do konkurencji stanęło kilka innych firm automobilowych, oraz kilka banków. Najgroźniejszym konkurentem Dillona był bank Morgana. Eksperci tego banku oszacowali majątek Dodgów na 132 miljony; byli najpewniejsi, że nikt inny nie da więcej i czuli się już właścicielami firmy samochodowej. Aż tu naraz, jak grom rozlega się wiadomość, że eksperci Dillona uznali za możebne zapłacić o 14 miljonów dolarów więcej. Dillon został zwycięzcą — zwyciężył Morgana — i stąd niebywała konsternacja w świecie finansowym Ameryki.



Podobizna historycznego czeku p. Dillona. Suma ta równa się całemu obiegowi pieniężnemu w Polsce.

AKADEMICY POLSCY

W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Napisał Adam B. Gostomski, Prezes Polskiego Koła Akademickiego w Stanach Zjednoczonych.

Do starych tradycyjnych dróg, któremi od lat młodzież polska dążyła po wiedzę poza granice kraju, przybył po wojnie nowy, nieuczęszczany dotychczas, szlak — poprzez ocean Atlantycki do ziemi Waszyngtona.

Szlak to nowy nietylko dla studentów polskich. Przed wojną emigracja studentów europejskich do Ameryki prawie nie istniała. Rozpoczęła się ona dopiero na wielką skalę pod znakiem powojennego rozwoju Stanów Zjednoczonych i niezaprzeczonego ich postępu na wszystkich prawie polach wiedzy i kultury. Obecnie uniwersyteckie miasta tego kraju stają się coraz poważniejszemi ośrodkami nauki, ściągającemi corocznie tysiące studentów dosłownie z całej kuli ziemskiej. Poważny jest jeszcze udział żywiołu azjatyckiego, a więc Japończyków, Chińczyków i Hindusów, coraz liczniej jednakże zaczyna być reprezentowana Europa, przedewszystkiem Anglja, Francja, Belgja, Niemcy, Skandynawja, Czechy, nawet Rosja.

Student z Polski ma tu z konieczności młodą jeszcze bardzo tradycję — choć z drugiej strony dość licznie studjują tu Polacy — obywatele amerykańscy. Pierwsza grupa z Polski, złożona z ośmiu stypendystów Ministerstwa W. R. i O. P., wylądowała w New Yorku jesienią 1922 roku; przed nimi było tu już kilka studentek, korzystających głównie ze stypendjów Y. W. C. A. Od tego czasu młoda ta polska kolonja zaczęła się bardzo szybko powiększać, dochodząc dzisiaj do dość znacznej już liczby 40-tu. Czynnikiem, który do wzrostu tego najskuteczniej się przyczynił jest Polsko-Amerykański Komitet Stypendjalny, — dzieło prof. Stefana Mierzwy i ofiarnej Polonji.



Adam Gostomski,
Prezes Polskiego Koła Akademickiego w Stanach Zjedn.

Większość przebywających tu na studjach akademików z Polski przybyła jednak prawie wyłącznie o własnych siłach i o własnych siłach nie tylko utrzymuje się przy życiu, ale i opłaca sobie studja. Choć zadanie to niełatwe, wszyscy znoszą swój los z humorem i niewątpliwie zaliczać będą te trudne miesięce próby życiowej do chwil najchętniej wspominanych.

Nie zapomnimy nigdy tego zapału, z jakim każdy z nas wkrótce po przybyciu, pełnił wszelakie funkcje, do jakich go losy powołały. I nie było nic bardziej tragikomicznego, a raczej poprostu komicznego, ponad te przedziwne kombinacje naszych amerykańskich zajęć z obranemi przez nas zawodami lub zdobytemi stopniami akademickiemi. Był więc inżynier górnik kopiący fundamenty, a w jakiś czas później piastujący godność woźnego; był doktór praw sprzątający ze stołów w restauracjach; był ekonomista do roznoszenia depesz; był socjolog-piekarz; był chemik, co zmywał naczynia; był mechanik kopiący w ogrodzie; i było jeszcze tylu, tylu innych szczęśliwych wybrańców losu, że już przestało to nas i dziwić i śmieszyć. A było i jest to dla nas cudowną szkołą życia i pracy. O ileż poważniej, a jednocześnie śmielej i pogodniej nauczyliśmy się odtąd patrzeć na świat!

Oddawna już, niemal od samej chwili przyjazdu, siłą cisnęły nam się na usta nowe uczucia i wrażenia, i żywem pragnieniem naszem było podzielić się z niemi z naszymi kolegami w kraju i ze starszem pokoleniem. Rozumieliśmy jednak, że nie był to jeszcze moment stosowny do wydawania opinji i sądu o Ameryce. Jeszcze dzisiaj może, pomimo naszego kilkoletniego pobytu tutaj, zapewne niejeden z naszych poglądów na tutejsze stosunki dość znacznej ulec może rewizji, i nie rościmy bynajmniej pretensji do tego, aby sąd nasz dzisiejszy miał charakter ostatecznie miarodajny. Wydaje nam się jednak, że wobec, z jednej strony, rosnącego w kraju zainteresowania Ameryką, a z drugiej — wobec dość sprzecznych jeszcze opinij, jakie krążą u nas o Stanach Zjednoczonych, jest poprostu naszym obowiązkiem podzielić się z krajem choć tym skromnym zapasem obserwacyj i doświadczenia, jaki udało nam się do tej chwili zdobyć.

Trudno w krótkim artykule pobieżnie choćby naszkicować wszystkie te dziedziny wiedzy, któreby interesować mogły i powinny studenta polskiego. Dlatego ograniczę się tylko do krótkiego scharakteryzowania nauk gospodarczych, przedewszystkiem handlowych, które, obok nauk technicznych, bezsprzecznie najbardziej w Ameryce zasługują na uwagę i stosunkowo łatwo wyzyskać się dadzą na gruncie Polski.

Przedewszystkiem podkreślić należy zastosowanie teorji ekonomji i statystyki dla praktycznego użytku przemysłowców, finansistów i kupców. Niema tu poprostu większego przedsiębiorstwa, któreby nie miało swego wydziału ekonomiczno-statystycznego. Niezależnie od tego istnieje tu szereg poważnych firm, t. zw. „służb ekonomicznych", których zadaniem jest zbieranie i analizowanie danych statystycznych i przepowiadanie na ich podstawie konjunktury handlowej i finansowej. Czasy ślepego ryzyka handlowego i nieoczekiwanych kryzysów minęły już w Stanach Zjednoczonych bezpowrotnie. Niema tu już dziś prawie najmniejszego choćby przedsiębiorstwa, któreby powstawało na los szczęścia. Przed powołaniem go do życia przeprowadzane są sumienne badania w danej dziedzinie przemysłu czy handlu, czy na danem terytorjum, i dopiero, gdy badania te zawyrokują o pomyślnych widokach dla nowej firmy, inicjatorzy jej odważają się na rozpoczęcie działalności.

Podobne zastosowanie znajduje statystyka w każdem większem przedsiębiorstwie już będącem w ruchu, służąc do kontrolowania jego działalności, przepowiadania przyszłych interesów oraz wskazywania logicznych metod planowania produkcji i polityki handlowej.

Dla przyszłego ekonomisty i kupca polskiego na szczególną uwagę zasługuje w Ameryce nauka o „marketing", czyli o badaniu i opanowywaniu rynku. Ma to szczególne zastosowanie w handlu wewnętrznym, i tutaj Amerykanie nie mają sobie równych na całym świecie, choć w handlu zagranicznym stoją jeszcze dość daleko wtyle poza Niemcami, Anglikami i Holendrami. Głęboko wystudjowane i niezwykle skuteczne metody organizacji sprzedaży i reklamy, w połączeniu z bardzo szeroko stosowaną normalizacją w przemyśle, pozwalają rzucać towary na rynek w wielkich ilościach i po stosunkowo bardzo niskich cenach, co podsyca spożycie i podnosi stopę życiową ludności. To zaś zkolei pozwala na masową i tanią produkcję. Handel odgrywa tu więc rolę potężnego koła rozpędowego, które czerpie swój ruch z siły nabywczej społeczeństwa, a jednocześnie rozpędem swym siłę tę podniecа. Rezultat: powszechny dobrobyt i zupełny niemal brak zaognionej kwestji robotniczej.

Oczywiście, czuły ten i skomplikowany, choć bardzo sprawnie funkcjonujący aparat jest rezultatem długoletnich wysiłków przedsiębiorczego i pracowitego narodu i wynika w sposób zupełnie naturalny z charakteru samego życia gospodarczego Stanów Zjednoczonych. Dlatego trudno myśleć o tem, aby wszystkie te metody można było z powodzeniem zastosować w Polsce. Natomiast nie ulega wątpliwości, że praca w tym samym kierunku, choćby odmiennemi sposobami, będzie nie tylko dobrodziejstwem dla polskiego konsumenta, lecz znaczyć będzie okres rozwoju, przez który nasze życie gospodarcze przejść nieodzownie musi, jeżeli Polska ma stanąć w rzędzie państw ekonomicznie niezależnych i silnych.

Dzisiaj zwłaszcza, gdy główną bolączką polskiego życia gospodarczego wydają się być — obok trudności kredytowych, wysokie koszta wytwarzania i dystrybucji towarów, wysiłki, zmierzające z jednej strony do uproszczenia i znormalizowania sposobów produkcji, a z drugiej — do obniżenia kosztów sprzedaży przez przyśpieszenie obrotu, muszą wydać zczasem rezultaty o doniosłem znaczeniu dla kraju. W tej właśnie dziedzinie uniwersytety i bibljo-



International Home w New-Yorku. Klub Studentów z 69 krajów.
Fot. T. Wołkowski.



Grupa członków Polskiego Koła Akademickiego przed Uniwersytetem Columbia w New-Yorku.
Fot. T. Wołkowski.

teki, a przedewszystkiem samo życie Ameryki, otwierają nieograniczone wprost pole do studjów.

Ameryka daje jednak studentowi z Polski coś znacznie więcej, niż tylko korzyści fachowe w obranym przez niego zawodzie. Jest ona znakomitą szkołą życia i pracy. Mimowoli wprost nabiera się tu tego niezmordowanego tempa, tak charakteryzującego życie amerykańskie i uczy się szanować ponad wszystko wartość czasu. Zwłaszcza, o ile ma się sposobność pracowania we wzorowo zorganizowanych firmach amerykańskich, wynieść z nich można trudną bardzo sztukę metodycznego i sprawnego organizowania i kontrolowania pracy, co tak bardzo może się przydać w Polsce. Przedewszystkiem zaś nabiera się tej niezrównanej, i chyba tylko Amerykanom właściwej, zdolności ujmowania rzeczy z najprostszej strony i znajdowania najłatwiejszego ich rozwiązania. Amerykanin jest bowiem mistrzem w rozwiązywaniu zagadnień praktycznych; umysł jego zresztą niemal nie potrafi inaczej pracować, jak tylko kategorjami praktycznemi. Amerykanin jest przytem, jak wiadomo, bardzo śmiały w myśleniu i planowaniu. Nie przeraża go, jak Anglika, uświęcona latami tradycja. Nie krępuje go konwencjonalizm i bezmyślna formalistyka. To też wszystkie wielkie projekty amerykańskie odznaczają się taką rzutkością myśli, a jednocześnie prostotą wykonania. Amerykanin jest niezrównany przedewszystkiem w wykonaniu. Prawdopodobnie przewyższa go Niemiec skrupulatnością i drobiazgowością organizacji i techniki. Wymaga to jednak dużych sztabów wyszkolonych i wyspecjalizowanych ludzi, z których każdy pracuje jak mniej lub więcej myśląca maszyna nad powierzoną sobie częścią pracy. Amerykanin, organizując, potrafi dobierać ludzi zdolnych i z inicjatywą i, dając każdemu z nich całkowitą prawie swobodę działania w jego zakresie, a jednocześnie stwarzając doskonały system kontroli, potrafi osiągnąć lepsze rezultaty w krótszym przeciągu czasu.

Zadziwiającą jest rzeczą, do jakiego stopnia Amerykanie (podobnie zresztą, jak Anglicy lub Niemcy) stworzeni są do pracy zbiorowej. Gdy stają oni przed jakiemkolwiek zadaniem, do tego stopnia wpojone mają w krew poczucie obowiązku i solidarności, że momentalnie przystępują do wykonania, nie przywiązując już większej wagi do tego, który z nich przeznaczony jest do kierowania pracą.

Najgorętszą ambicją studjujących w Ameryce akademików z Polski jest oddanie nabytej tu wiedzy i doświadczena krajowi i przyczynienie się w ten sposób do przyśpieszenia dzieła odbudowy i postępu. Rozumiemy jednak, że nierozsądną byłoby rzeczą stosowanie w Polsce metod amerykańskich w sposób mechaniczny. Mamy już, niestety, w kraju kilka smutnych przykładów, jak tych metod nie należy stosować. Dlatego przed wszelkiemi próbami wprowadzania pożytecznych innowacyj z życia gospodarczego Stanów Zjednoczonych konieczne będą przedtem gruntow-

ne studja badawcze i odpowiednie przystosowanie nabytej tu wiedzy i doświadczenia do stosunków polskich. Musimy być również przygotowani na to, że może wypadnie nam się spotkać z pewnego rodzaju uprzedzeniem i nieufnością ze strony starszego pokolenia, dalecy być zatem musimy od wszelkich prób rewolucjonizowania istniejących stosunków. W przyszłej naszej pracy winniśmy wyłącznie stosować zasadę stopniowej ewolucji, i wszelkie zmiany winny być wprowadzane tam tylko, gdzie są one istotnie konieczne i gdzie psychika społeczeństwa na wprowadzenie tych zmian może pozwolić. Przyszła nasza działalność powinna przytem polegać raczej na dawaniu przykładu codzienną pracą, niż na wygłaszaniu szumnych mów.

Jasną jest rzeczą, że wobec tych możliwych trudności nic nie zdziała odosobniony wysiłek jednostek. Zadanie wymagać będzie zbiorowej akcji całej gromady ludzi o podobnych horyzontach myślenia i ożywionych tym samym duchem. Z tą myślą akademicy polscy w Ameryce zorganizowali się w Polskie Koło Akademickie w Stanach Zjednoczonych, ci zaś z nich, którzy powrócili już do Polski, utworzyli tam Koło byłych studentów uczelni Amerykańskich. Obydwie te organizacje pracują w ścisłym ze sobą kontakcie, przyczem jedną z najważniejszych ich funkcyj jest udzielanie informacyj akademikom w Polsce interesującym się studjami w Stanach Zjednoczonych.

Zadaniem Polskiego Koła Akademickiego w St. Zjedn. jest również prowadzenie działalności samopomocowej wśród tych członków, którzy nie korzystają ze stypendjów. Środkiem do zdobycia pierwszych funduszów na ten cel był Bal Akademicki, urządzony z dużem powodzeniem we wrześniu ub. roku. Podobna impreza planowana jest również w jesieni roku bieżącego.

Za bardzo ważny i bardzo wdzięczny obowiązek uważają członkowie Polskiego Koła Akademickiego pracę oświatową wśród tutejszej Polonji, a więc wygłaszanie odczytów i prowadzenie lekcyj języka polskiego w szkołach Rady Oświatowej. Pracę tę prowadzi kilku studentów i studentek zupełnie bezinteresownie. Staramy się również utrzymywać kontakt z grupą studentów polskich — obywateli amerykańskich. Jest to element bardzo dzielny, i wzajemne poznanie się i wymiana myśli może przynieść obydwu stronom znaczne korzyści.

Staramy się wreszcie nie zaniedbywać żadnej sposobności, aby godnie reprezentować Polskę na terenie amerykańskich zrzeszeń akademickich. W szczególności ważną pod tym względem placówką jest polska sekcja Międzynarodowego Klubu Studentów (Intercollegiate Cosmopolitan Club) w New Yorku. Klub ten składa się z przedstawicieli 69 narodowości świata i zorganizowany jest, jak mała Liga Narodów. Co miesiąc odbywają się tu publiczne dysputy na jakiś aktualny temat polityczny lub gospodarczy. Władzę prawodawczą stanowi „Gabinet", coś w rodzaju Rady Ligi Narodów, w którym Polska ma obecnie dwa miejsca. Co rok każda narodowość lub grupa narodowa urządza swój „Wieczór Narodowy", na który składają się krótkie przedstawienia i charakterystyczne występy, reprezentujące kulturę danego kraju. Wieczór polski cieszy się zwykle wielkiem powodzeniem.

(Dalszy ciąg na str. 38)



Grupa studentów amerykańskich, zwiedzających Polskę, podczas wizyty u Posła Stanów Zjednoczonych Alfreda J. Pearsona.

O NOGACH I ICH PIELĘGNACJI

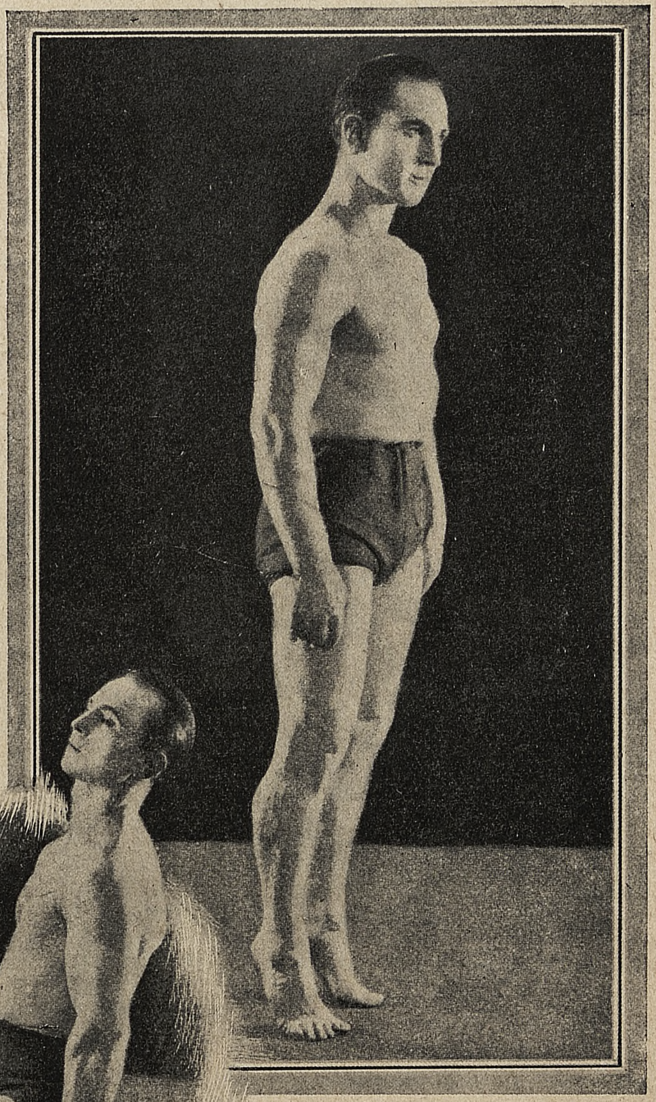
Znana jest ogólnie przypowieść starorzymska o żołądku, przeciw któremu zbuntowały się członki ciała i, odmówiwszy mu pokarmu, same omal nie zginęły z wycieńczenia. Powiastka ta zawiera sens głęboki. Stwierdza ona, że wszelkie organy ciała połączone są związkiem tak istotnym, że z chwilą gdy jeden z nich chorzeje całe ciało traci zdrowie i siły. Zdarza się jednak, że choć zdajemy sobie z tego sprawę, zaniedbujemy często nader ważną część naszego ciała. Odnosi się to szczególnie do nóg i o pielęgnowaniu ich chcę dziś powiedzieć słów parę.

Przedewszystkiem zdać sobie należy sprawę, jak ważną rolę odgrywają nogi w naszem życiu i jak ciężką spełniają pracę. Noszą nas codzień ku pracy i ku zabawie, dzięki nim uprawiamy sporty, tańczymy, biegamy, a kto uświadomi sobie, jak ciężkiem kalectwem jest strata nóg, ten dopiero zrozumie, jak cennemi są dla nas te podpory naszego ciała i jak bardzo powinniśmy dbać o ich zdrowie. Cóż my jednak robimy? Wkładamy je w ciasne zamknięcie obuwia, każemy im nosić przez dzień cały nasz (nieraz dość wydatny) ciężar, nie myślimy zaś wcale, jak obchodzić się z niemi, by zachować je w pełni sił aż po najdłuższe lata. Przyzwyczailiśmy się do tego, że o nogi dbają jedynie ludzie, używający ich do wykonywania swego zawodu. Nie dziwi nas, gdy pielęgnuje swe nogi baletnica lub linoskoczek, ba! nawet panie poświęcające wiele czasu manicure nie zastanowią się nad tem, że nogi wymagają również specjalnej uwagi.

Pierwszym warunkiem pielęgnowania nóg jest ich czystość. Ręce myjemy kilka razy dziennie, a przecież takiej samej czystości wymagają również nasze odnoża. Nogi należy myć codziennie, zwłaszcza w lecie gdy pocą się silniej. Dobrze jest przesypać je po umyciu pudrem. Pończocha powinna być zawsze czysta, zaś bucik przestronny z miękkiej skóry i z giętką podeszwą.

Wogóle człowiek rzadko zdaje sobie z tego sprawę, jak wielkim wrogiem jego zdrowia jest zbyt ciasny bucik. Początkowo skaza nie wielka: odcisk na jakimś palcu. Lecz w miarę dalszego zaniedbania występuje ból w kostce, zapalenie i obrzmienie w okolicy podbicia i sklepienia stopy. Kto nosi w młodym wieku zbyt ciasne obuwie, tego stopa ulega zniekształceniu na całe życie.

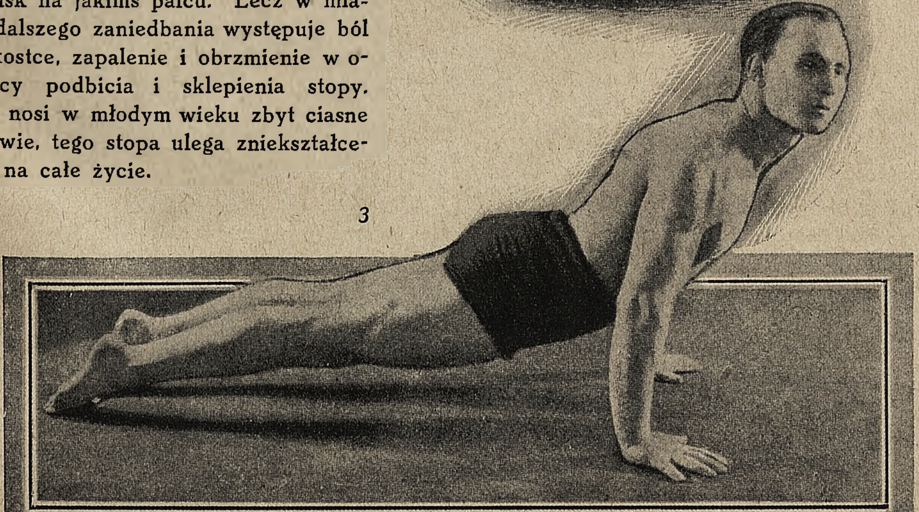
1



2



3



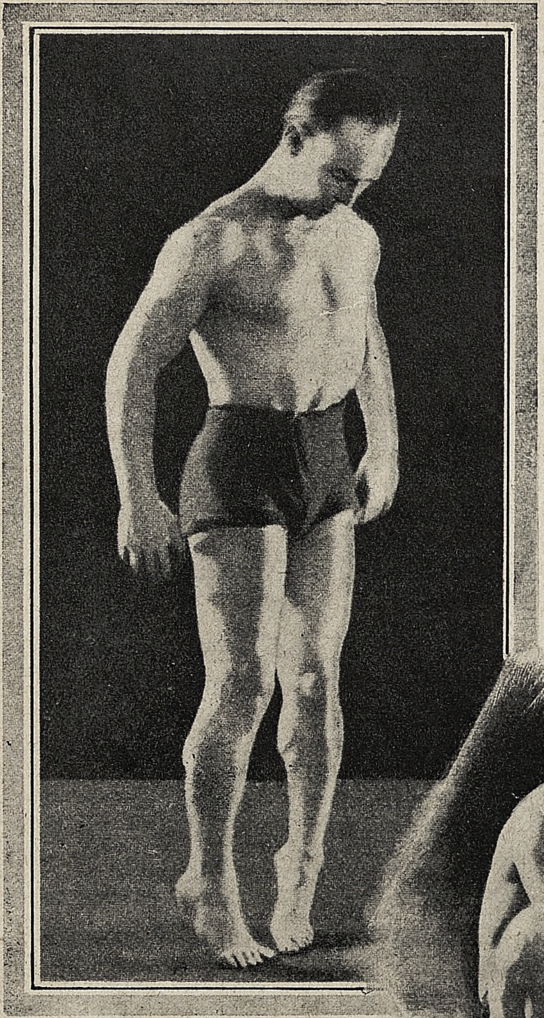
1. *Trzymając pięty jedna przy drugiej podnoś się powoli na palcach, zniżaj się znów ku piętom i znów podnoś się jak można najwyżej na palcach. Ćwiczenie to odbywać należy aż do zmęczenia nóg.*
2. *Siądź na podłodze na kolanach i nogach. Chwyć ręką za podbicie stopy. Ćwiczenie polega na podnoszeniu stopy rękami i opieraniu się nogami.*
3. *Połóż się na podłodze twarzą ku ziemi opierając ciężar na rękach i palcach nóg. Posuwaj się naprzód i w tył każdy raz jak można najdalej. Ćwiczenie to ma na celu wyprostowanie nóg, jest również doskonałe dla gimnastyki całego ciała.*

Noga jest tylko wtedy piękna, jeśli jest swobodnie rozwinięta. Kostka, kłąb wielkiego palca i wielki palec tworzyć powinny linję prostą, wielki palec jest wtedy prostolinijnem dokończeniem własnej kości śródstopia.

27 kości tworzących stopę ustawione są idealnie w celu ułatwienia człowiekowi jego wędrówki po ziemi. Tworzą one sklepienie tego rodzaju, że zewnętrzny brzeg nogi przylega w czasie stania do ziemi, zaś wewnętrzny dotyka ziemi jedynie piętą, kłębem palca i wielkim palcem. Noga dźwiga ciężar całego ciała, a z budownictwa wiemy, że sklepienie jest znacznie wytrzymalsze na ciężary niż powierzchnia płaska (np. mosty). Jak długo wielki palec znajduje się w pozycji właściwej, noga jest zdrowa. W ciasnym buciku, sklepienie się obsuwa i powstaje t. zw. noga płaska.

W znacznej mierze przyczyniają się do zniekształcenia nogi zbyt wysokie obcasy. Noga znajduje się wtedy na płaszczyźnie skośnej, a palce obsuwają się ku przodowi i ocierają o skórę bucika.

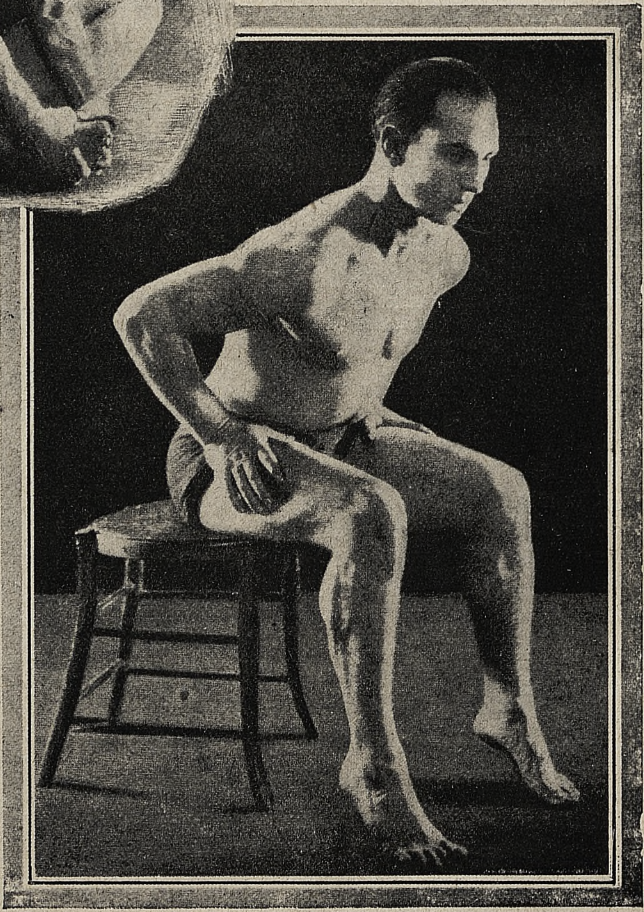
Zrozumiawszy doniosłe znaczenie czystości nóg i wygodnego obuwia nie należy zapominać o jeszcze jednym równie ważnym czynniku zdrowotności nóg, a mianowicie o specjalnej gimnastyce odnoży. Kto trzyma rękę zwieszoną przez dłuższą chwilę, po odjęciu krępującego ucisku odruchowo zaczyna nią poruszać. Taka właśnie gimnastyka po odjęciu ucisku potrzebna jest i nogom. Na załączonych rycinach uwidocznione są najważniejsze typy tego rodzaju ćwiczeń. Uprawiając je cierpliwie wyleczyć można w ten sposób wszelkie dolegliwości nóg i zahartować je przeciw zmęczeniu.



4



5



6

4. Podnieś się możliwie wysoko na palcach, mając pięty jak najdalej od siebie. Potem powoli zbliżaj je ku sobie, dopóki się nie zetkną. Ćwicz aż do zmęczenia nogi.

5. Usiądź na ziemi na sposób wschodni (kolana rozchylone, podeszwy nóg stykają się). Staraj się unieść za pomocą ręki jedną nogę w górę i przeciwdziałaj temu oporem drugiej nogi.

6. Siedząc na krześle i trzymając nogi na ziemi staraj się wysunąć palce jak najdalej od kłęba nogi (jak rysunek wskazuje). Ćwicz aż do zmęczenia sklepienia nóg.

Doskonałe jest np. ćwiczenia, polegające na chodzeniu przez dłuższą chwilę na palcach (naturalnie boso), lub też opieranie się podczas chodzenia na zewnętrznym brzegu stopy. W ten sposób stopa staje się giętką i wytrzymałą.

Pielęgnacja nogi i racjonalna gimnastyka wyleczy ją ze wszelkich schodzeń, uczyni z niej elastyczną, muskularną i silną podporę naszego ciała.

M. C. G.

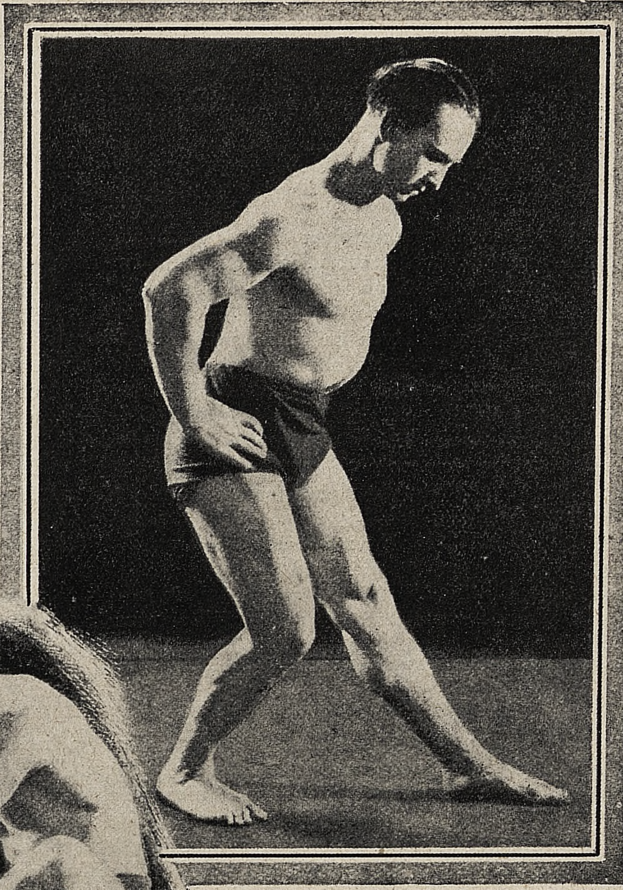
KONKURS KULTURY CIELESNEJ.

Czytelnicy nasi zauważyli, że stale podajemy sugestje, mające na celu rozwój kultury cielesnej i zdrowia fizycznego. Dział ten pisma naszego oddajemy teraz do usług Czytelników i prosimy o nadsyłanie nam fotografij i opisów swych własnych doświadczeń. Nic tak nie pobudza do czynu, jak przykład. Tajemnice zdrowia, siły, gracji i energji winny być dostępne dla każdego człowieka.

W celu pobudzenia naszych Czytelników i Czytelniczek do rozwoju kultury fizycznej będziemy publikować najlepsze opisy ich własnych ćwiczeń cielesnych i sportowych wraz ze zdjęciami fotograficznemi i opłacać je specjalnem honorarjum od 20 zł. do 50 zł.

Redakcja.

7



8





9

7. *Stojąc, wysuń jedną nogę przed siebie, starając się równocześnie za pomocą tej nogi zachować równowagę ciała. Zginaj powoli kolano nogi drugiej, nie odrywając jednak pięty od ziemi. Po kilku ruchach, zatrzymując pozycję zgiętego kolana unieś nogę możliwie wysoko na pięcie. Powtórz to ćwiczenie kilkakrotnie. Potem zmień pozycję nóg i zacznij od początku.*

8. *Usiądź na krześle i oprzyj lewą nogę o prawe kolano. Oprzyj kłąb prawej ręki o sklepienie lewej nogi chwytając równocześnie palcami ręki prawej kłąb lewej nogi. Prawą ręką chwyć palce lewej nogi, prawą rękę zginaj w dół, lewą zaś podnoś ku górze. Po kilku ruchach zmień kierunek (prawa ręka pcha ku górze, lewa ciągnie w dół). Ćwicz potem w ten sam sposób nogę prawą.*

9. *Prawą nogę wysuń naprzód i podnieś się na palcach lewej nogi, posuwając się równocześnie całem ciałem naprzód jak najdalej można. Potem oprzyj lewą nogę na pięcie, zaś podnoś się na palcach prawej nogi, pochylając się równocześnie całem ciałem ku tyłowi. Zmień pozycję nóg i powtórz ćwiczenie.*

A T O M

ELEKTRONY I PROTONY, JAKO CIAŁA MIKROSKOPIJNEGO UKŁADU SŁONECZNEGO, KTÓREGO IMIĘ—ATOM.

Nowożytnym czarodziejom fizyki udało się przeniknąć tajniki indywidualnego życia atomu; udało się im prawie wyodrębnić poszczególne atomy i zbadać ich wewnętrzne działanie, podobnie jak to czyni zegarmistrz, badając działanie zegarka. Wyniki tych badań są zupełnie nowem odkryciem w dziedzinie wiedzy naszej o wszechświecie, a jednocześnie zapoczątkowują nową całkowicie naukę o geometrji i mechanice atomu.

Jeszcze przed kilku laty uważano powszechnie, iż w całym wszechświecie istnieje około osiemdziesięciu odrębnych rodzajów materyj, stanowiących tyleż pierwiastków chemicznych.

Wodór składał się więc z atomów wodoru, różniących się pod każdym względem od atomów np. tlenu, żelazo z atomów żelaza i t. d. Nie zastanawiano się jednak nad tem, jak wygląda i czem jest w rzeczywistości atom, kontentując się twierdzeniem, iż jest to „najdrobniejsza czyli niedająca się dalej podzielić cząsteczka materji".

Obalenie przestarzałych teoryj

Około dziesięciu lat temu zasada powyższa zachwiała się, a wkrótce potem została obaloną całkowicie. Wiadomo dziś, że atomy nie są bynajmniej niepodzielnemi, i że stanowią one skomplikowane i ruchliwe układy, składające się z dwóch rodzajów nadzwyczaj drobniutkich cząsteczek, znacznie mniejszych od samego atomu. O ile uczeni ubiegłego stulecia zadowalali się badaniami odrazu całej masy atomów, ważąc i mierząc miljony atomów jednocześnie, o tyle uczeni dzisiejsi badają już pojedyncze atomy, odnajdując w nich niezmierzone pole dla dociekań mechanicznych i matematycznych.

Mechanika atomu jest o wiele więcej skomplikowaną, aniżeli mechanika naszego układu słonecznego.

Zbadanie atomu posiada jednak donioślejsze znaczenie, gdyż, jeżeli uda się nam poznać budowę atomów i zmieniać ją dowolnie, to przez to samo rozwiążemy wiekowy już problemat przemiany czyli transmutacji pierwiastków.

To, co już uczeni dowiedzieli się dotychczas o atomach, najlepiej będzie wyjaśnić na najprostszym ze znanych atomów, czyli atomie wodoru. Atom ten tworzy układ o wiele prostszy od układu słonecznego, gdyż stanowi jakby układ słoneczny, posiadający jedną tylko planetę.

Pośrodku każdego atomu wodoru, znajduje się bardzo drobna cząsteczka o mało znanych jeszcze właściwościach, którą nazwano słowem — „proton", co po grecku oznacza początek albo źródło wszystkiego. Proton ten stanowi jakgdyby słońce naszego układu słonecznego, wokoło którego krąży druga cząsteczka, tworząca wraz z tym protonem atom wodoru. Ta cząsteczka krążąca nie jest podobna do protonu, gdyż jest od niego o wiele większą i posiada ujemny ładunek elektryczny, wówczas, gdy proton posiada dodatni ładunek elektryczny. Tę krążącą cząsteczkę nazwano „elektronem".

Czy elektryczność jest materją?

Istotnie, możliwem jest, że proton i elektron nie dźwigają ładunków elektrycznych, lecz są samą elektrycznością, a wówczas, prąd elektryczny, przebiegający po drucie, stanowiłby poprostu strumień elektronów, a iskra elektryczna byłaby jedynie stadkiem elektronów, przeskakujących nagle w przestrzeni.

Elektryczność i materja zdają się być czemś podstawowo identycznem, gdyż i jedno i drugie ujawnia się zapomocą protonów i elektronów. Na pytanie jednak, czem są w istocie swej proton i elektron, jako dwa czynniki podstawowe, odpowiedzieć dziś jeszcze nie jesteśmy w możności.

Pozostawiając na stronie to nierozwiązane dotychczas zagadnienie, zastanówmy się nad dość dobrze już znanym nam atomem wodoru: — otóż elektron krąży tu wokoło znajdującego się pośrodku protonu, posuwając się wzdłuż swej orbity w podobny sposób, jak ziemia krąży wokoło słońca, z tą jednak różnicą, iż szybkość elektronu jest o wiele większą. Wskutek pewnych wpływów, jak np. wysokiej temperatury, silnego wyładowania elektrycznego lub bardzo silnego światła, posiadającego specjalne cechy, elektron może być wytrącony z orbity, po której krąży wokoło protonu. Może się nawet zdarzyć, że porzuci on zupełnie atom, stając się wolnym elektronem. W innych jeszcze wypadkach, elektron nie porzuca całkowicie atomu, lecz opuszcza swą orbitę w kierunku nazewnątrz i poczyna krążyć wokoło protonu po drugiej, większej, orbicie.

Po pewnym jednak czasie, wytrącony ze swej drogi, elektron powraca do swej pierwotnej orbity, która, o ile nam wiadomo, jest najmniejszą orbitą możliwą dla tego elektronu. Jeżeli nawet elektron opuści całkowicie atom, to jednak zaraz potem osamotniony proton chwyta sobie, z pośród wolnych elektronów błądzących wpobliżu, zastępcę. Ten nowouwięziony elektron przechodzi wkrótce potem na tę samą orbitę, po której krążył poprzednio wokoło protonu zbiegły elektron.

Najmniejsza taka orbita w atomie wodoru jest jednak jeszcze dostatecznie wielką, aby ten ruch krążenia mógł się odbywać, bo chociaż sam atom jest tak maleńki, iż w dostrzegalnym zaledwie pyłku zmieszczą się tych atomów miljony miljonów, to jednak elektron i proton są od nich jeszcze o wiele mniejsze. Elektron jest przytem prawie dwa tysiące razy większy od protonu.

Czem się różnią od siebie rozmaite atomy?

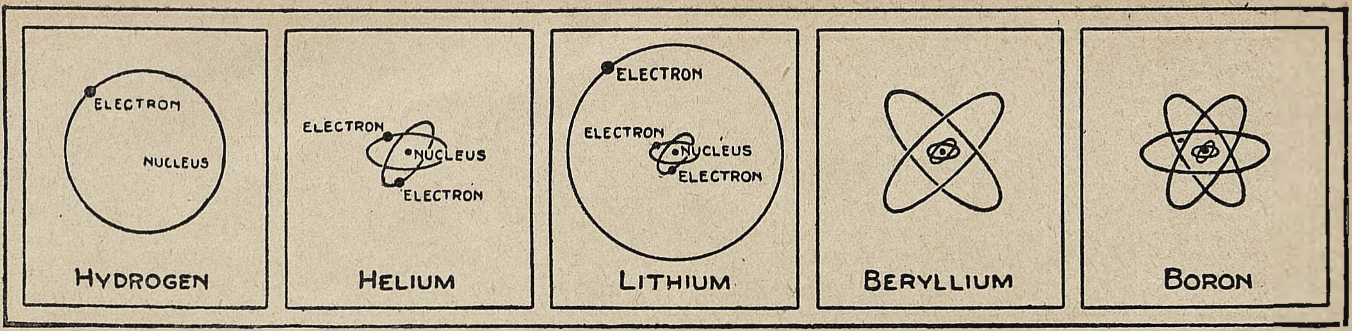
Jeżelibyśmy powiększyli atom wodoru do takich rozmiarów, że jego zwykła czyli najmniejsza możliwa orbita elektronu byłaby tej wielkości co tor wyścigowy długości około półtora kilometra, to elektron ten, widziany w tejże samej skali, wydałby się kulką o średnicy przeszło półtora centymetra. Proton zaś byłby wówczas dostrzegalnym jedynie przez mikroskop, gdyż wydałby się pyłkiem o średnicy około jednej tysiącznej centymetra.

Uzmysłowiwszy sobie w powyższy sposób wygląd atomu, wyobraźmy sobie teraz, że po brzegu tego toru wyścigowego pędzi wokoło z szaloną szybkością mała piłeczka, przedstawiająca sobą elektron, a pośrodku elipsy, utworzonej przez ten tor, znajduje się niewidzialny dla nieuzbrojonego oka pyłek wyobrażający proton. Cała pozostała przestrzeń atomu jest zupełnie pustą.

Następnym pod względem prostoty swej budowy jest atom helu, — znanego gazu niepalnego, używanego do napełniania balonów sterowych. Atom helu składa się z czterech protonów i czterech elektronów, przyczem wszystkie cztery protony wraz z dwoma elektronami znajdują się pośrodku atomu, tworząc grupę spełniającą rolę pojedyńczego protonu w atomie wodoru. Dwa pozostałe elektrony krążą wokoło tej grupy centralnej w podobny sposób, jak pojedyńczy elektron atomu wodoru krąży wokoło pojedyńczego protonu. Tę centralną grupę protonów i elektronów uczeni nazwali jądrem atomu.

Atomy złożone.

Oba elektrony, krążące wokoło tego jądra atomu helu, posiadają orbity nieco mniejsze od orbity elektronu w ato-



Wodór *Hel* *Lit* *Beryl* *Bor*

Budowa dziesieciu najprostszych atomów, z których każdy podobny jest do maleńkiego układu słonecznego, z jądrem czyli „słońcem" atomu pośrodku. Każdy atom składa się tylko z dwóch rodzajów cząsteczek, a mianowicie z elektronów i protonów.

mie wodoru, przyczem orbity te nie znajdują się bynajmniej w jednej płaszczyźnie, lecz leżą w dwóch płaszczyznach mocno do siebie nachylonych. Jeżeli wyobrazimy sobie teraz, że jedna z orbit helu leży w płaszczyźnie podanego powyżej toru wyścigowego o długości przeszło półtora kilometra, to wówczas przekonamy się, iż średnica tej orbity jest taką, iż nasza piłeczka, wyobrażająca elektron krążący po tej orbicie, przebiegać będzie pośrodku odległości pomiędzy środkiem tego toru wyścigowego a jego zewnętrznem ogrodzeniem. Drugi elektron helu krąży po orbicie posiadającej, mniej więcej, tęż samą średnicę, lecz leżącej w płaszczyźnie nachylonej do pierwszej orbity pod kątem około 60^0, przyczem, oczywiście, dolna połowa tej orbity leży w tej samej płaszczyźnie, co i górna.

Następnym pod względem złożoności atomem jest atom litu czyli pierwiastka metalicznego, którego związki chemiczne znajdują się w wodzie litowej. Atom ten zawiera sześć protonów i sześć elektronów, przyczem trzy elektrony krążą po orbitach, nachylonych do siebie wzajemnie pod kątem zbliżonym do kąta pomiędzy dwiema orbitami helu. Pozostałe trzy elektrony wraz ze wszystkiemi sześcioma protonami tworzą jądro centralne.

Podobnie rzecz się ma z atomami znanego ogólnie szeregu pierwiastków chemicznych, z pośród których następnym pod względem swej struktury jest atom metalu berylu, posiadający osiem protonów i osiem elektronów. Dalsze miejsce zajmuje atom boru z dziesięcioma protonami i dziesięcioma elektronami i t. d.

Każdy atom w tym szeregu posiada o jeden krążący elektron więcej, aniżeli atom poprzedni, a jednocześnie większą ilość protonów i elektronów w swem jądrze.

Orbity elektronów w atomach tych rozłożone są w przestrzeni wokoło jądra w sposób coraz więcej skomplikowany i to w miarę wzrastania ilości tych orbit.

Najbardziej skomplikowanym ze znanych atomów jest atom bardzo rzadko napotykanego metalu — uranu. Przypuszczają, iż zawiera on około 238 protonów i tyleż elektronów, z których 92 elektrony są w ruchu orbitowym wokoło jądra.

Być może, że ktoś z czytelników, nastrojonych bardziej sceptycznie, zapyta w tem miejscu, — w jaki sposób dowiedziano się o tem wszystkiem, jeżeli atomy są tak maleńkie, iż miljony ich mogą się pomieścić w jednej główce szpilki? Wiadomo bowiem, że zapomocą najtęższych nawet mikroskopów nie można dojrzeć cząsteczek tak niezmiernie drobnych.

W odpowiedzi na to, dowiadujemy się, że odkrycia te nie są dokonane zapomocą mikroskopu, i że żaden z uczonych nie widział nigdy atomu, a wszystko to, co już wiemy w tej dziedzinie nauki, zawdzięczamy promieniom światła i pewnym związkom, istniejącym pomiędzy temi promieniami i ruchem elektronów wewnątrz atomu z jednej orbity do drugiej, to jest ruchem, o którym mówiliśmy już, zastanawiając się nad tem, co się stanie, gdy elektron w atomie wodoru wytrącony będzie ze swej zwykłej orbity.

Jak wiemy już, elektron ten powraca z orbity większej czyli zewnętrznej, do orbity, z której został usunięty. Jeżeli zaś elektron ten został całkowicie dla atomu utracony, to na jego miejsce wchodzi drugi, który wkońcu krążyć będzie po tej samej możliwie najmniejszej orbicie, opuszczonej przez ów utracony elektron.

Tajemnice, odkryte przez widmo świetlne.

Jak się przekonano, temu powrotowi elektronów do atomu towarzyszy wysyłanie przez tenże atom promieni świetlnych, ale nauka nie wie jeszcze dziś, dlaczego powstaje to świecenie. Wiadomo zato oddawna, że te promienie świetlne charakteryzują rodzaj atomu. Atom wodoru np. wysyła światło pewnego określonego koloru czyli, jak powiadają uczeni, o pewnej długości fali.

Jeżeli przepuszczamy światło przez pryzmat szklany lub jeżeli je rozłożymy w inny sposób, to otrzymamy wówczas tęczową wstęgę barw, zwaną widmem; przy rozszczepieniu zaś w ten sposób specjalnego światła, wysyłanego przez atom wodoru, otrzymamy widmo z określonemi, jasnemi linjami, biegnącemi wpoprzek, przyczem każda z tych linij znajduje się w miejscu i kolorze wstęgi widma, odpowiadającym dokładnie długości fali tej linji. Ponieważ linje powyższe są dobrze znane i można je z łatwością rozpoznawać, więc uczeni, mając widmo światła wysyłanego przez ciała bardzo nawet odległe, mogą określić dokładnie, z jakich mianowicie atomów wysyłających światło składa się to ciało.

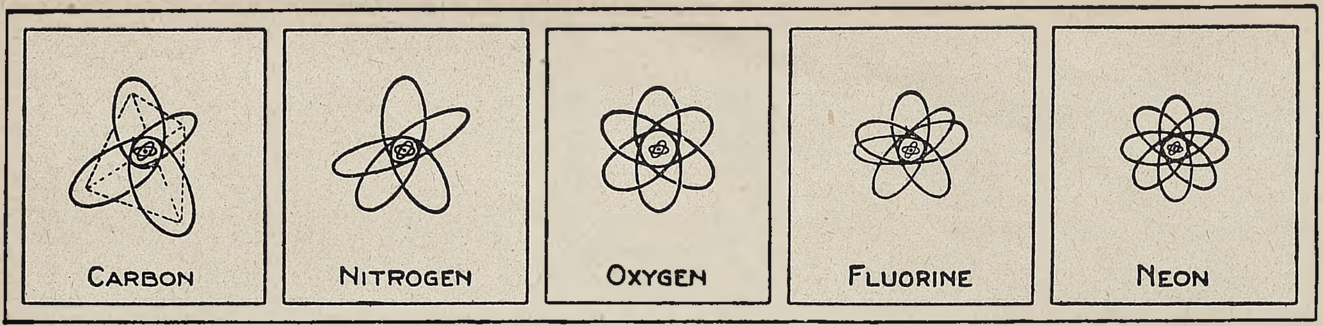
W ten właśnie sposób astronomowie określają rodzaj atomów istniejących na odległych gwiazdach, jeżeli bowiem światło jednej z gwiazd rozszczepimy zapomocą przyrządu zwanego spektroskopem na widmo i odnajdziemy w tem widmie np. jasne linje charakteryzujące wodór, to wnioskujemy stąd, że w skład masy tej gwiazdy wchodzi gorący i promieniejący wodór.

Jakieś piętnaście lat temu, młody fizyk, dr. Niels Bohr, obecnie profesor uniwersytetu w Kopenhadze, rozpoczął swe badania światła wysyłanego przez rozmaite rodzaje atomów. Przypuszczano już w onym czasie, że atom zawiera krążące elektrony, więc dr. Bohr przyszedł do wniosku, że wysłane przez atom promienie świetlne mogą dać pewne informacje, dotyczące ilości i układu możliwych orbit elektronów.

Po długiej pracy sformułowano i sprawdzono doświadczalnie teorję określającą powyższy związek. Dr. Bohr i inni badacze wykryli mianowicie, że pomiędzy układem orbit w atomie i rodzajem promieni świetlnych, wysyłanych przezeń, w chwili przechodzenia elektronów z jednej orbity do drugiej, istnieje pewien stały związek.

Jak odgadnięto zachowanie się atomu.

Wiadomości dotyczące rozmaitych atomów nagromadziły się stopniowo. Teorja powyższa została wielokrotnie



Węgiel *Azot* *Tlen* *Fluor* *Neon*

Na rysunkach tych widzimy orbity, po których krążą maleńkie cząsteczki elektryczne, zwane elektronami, wewnątrz atomów rozmaitych pierwiastków chemicznych. Poszczególne orbity elektronów obejmują się wzajemnie, lecz nigdy nie zbiegają ze sobą.

sprawdzoną; użyto ją nawet do przepowiadania nieznanych jeszcze faktów, które następnie znalazły potwierdzenie w bezpośrednich doświadczeniach. Teorje dr. Bohra nie podlegają już zasadniczo żadnym wątpliwościom i z tych to właśnie sprawdzonych w sposób niezbity teoryj uczeni wywnioskowali opisaną powyżej budowę atomów.

Wiadomości nasze w tym względzie nie ograniczają się jedynie do określenia ilości protonów i elektronów i układu orbit elektronowych, lecz obejmują również pewne fakty, dotyczące szybkości elektronów, ilości posiadanej przez nie energji i t. p.

Jeżeli chodzi np. o szybkość, to najwolniej ze wszystkich elektronów atomowych, krążących po swej zwykłej orbicie, jest pojedyńczy elektron atomu wodoru. Szybkość tego elektronu jest jednak olbrzymią, gdyż przebiega on w ciągu jednej sekundy ogromną przestrzeń przeszło 2000 kilometrów. Ruch elektronu, poruszającego się z tą zawrotną szybkością, odbywa się oczywiście, nie po linji prostej, lecz jest kolisty, czyli trwa po maleńkiej orbicie atomu.

Najszybszy biegacz atomowy.

Ale to był tylko najwolniejszy z elektronów atomowych, gdyż najszybszym ze znanych nam jest jeden z elektronów najbardziej skomplikowanego z atomów — atomu uranu. Ten prawdziwy czempion szybkości wśród elektronów przebiega przeszło 200.000 km. na sekundę, czyli mało co mniej od najszybszego ze wszystkich szybkości—światła, przebiegającego około 300.000 km. na sekundę.

Wobec takich olbrzymich szybkości elektronów, atomy powinny zawierać ogromne ilości energji, utrzymywanej chociażby tylko w postaci energji ruchu. Zjawisko radjoaktywności wskazuje na to, iż w pewnych przynajmniej wypadkach, jest tak w istocie. Atomy radu i kilku innych ciał posiadają tę osobliwą własność, iż co chwila niektóre z tych atomów eksplodują, wyrzucając w przestrzeń z olbrzymią szybkością pewną ilość protonów i elektronów. Pozostała część atomów, które eksplodowały, przetwarza się w atom innego zupełnie ciała, gdyż np. atom radu przeistacza się wówczas w atom gazu, zwanego radonem.

Atom radonu posiada jednak również własność eksplodowania, wobec czego rozpada się, tworząc atom innego pierwiastka radjoaktywnego.

Przeistaczanie to odbywa się w dalszym ciągu drogą całego szeregu eksplozyj atomów, aż wreszcie otrzymuje się atom trwały czyli niepodlegający dalszemu przeistaczaniu się: — tym ostatnim i już trwałym atomem rzeczywistej materji jest atom ołowiu.

W czasie tego szeregu eksplozyj atomów wydzieloną zostaje bardzo wielka ilość energji. Obliczono, że energja, wywiązana przy całkowitym rozkładzie jednej uncji (28 gr.) radu, gdyby można było ją gromadzić, wystarczyłaby do ogrzewania zwykłego domu mieszkalnego w ciągu wielu lat. Nawet w atomach nie posiadających własności eksplodowania ukrywa się wielka ilość energji ruchu, to też gdybyśmy zatrzymali nagle ruch elektronów zawartych w szklance wody, to uwolniona w ten sposób energja byłaby większą od energji, wywiązującej się przy wybuchu jednej tonny czyli 1000 kg. dynamitu.

Co nam dać może to nowe odkrycie naukowe?

Z powyższego nie wynika jednak, że człowiek będzie mógł kiedykolwiek zużytkować dla siebie energję ukrytą wewnątrz atomu, gdyż atomy posiadają nadzwyczaj trwałą strukturę. Uczeni przyszli nawet do wniosku, że w najdogodniejszych nawet ku temu warunkach na kuli ziemskiej, energja potrzebna do rozłożenia przeciętnego atomu byłaby daleko większa od energji otrzymanej wskutek tego rozkładu. Dlatego właśnie różowe nadzieje niektórych badaczy z przed kilku laty na temat zużytkowania energji wewnętrznej atomów należy dziś uważać za zupełnie płonne.

Nauka o atomie uważa jednak nadal za zupełnie, z praktycznego punktu widzenia, prawdopodobną możliwość przeistaczania jednego atomu w drugi. Przeistoczenie takie było przez trzysta lat przeszło głównym celem usiłowań dawnych alchemików, i dopiero teraz starania te zdają się zbliżać do upragnionego wyniku.

Sztuczne wytwarzanie pożądanych pierwiastków chemicznych.

Wogóle mówiąc, możemy być pewni, że w miarę posuwania się naprzód nauki o budowie atomów, zbliżamy się do dnia, w którym posiądziemy sekret zmieniania tych atomów, a więc i przeistaczania jednego pierwiastka w drugi.

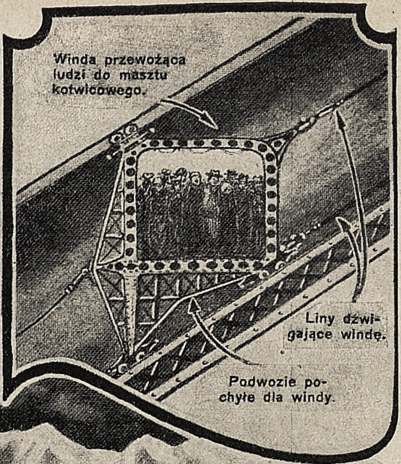
Ciekawą rzeczą jest to, iż uczeni nie przywiązują wielkiej wagi do możliwości przemiany innych pierwiastków w złoto, gdyż złoto nadaje się głównie tylko do wyrobu pieniędzy, które można robić także z innego materjału. Są jednak pierwiastki bardzo potrzebne, a jednocześnie bardzo rzadkie, jak np. platyna, której ilość jest znacznie mniejszą od zapotrzebowania ze strony chemików. Jod zdaje się być następnym pierwiastkiem, którego brak daje się coraz bardziej odczuwać w miarę wzrostu zapotrzebowania.

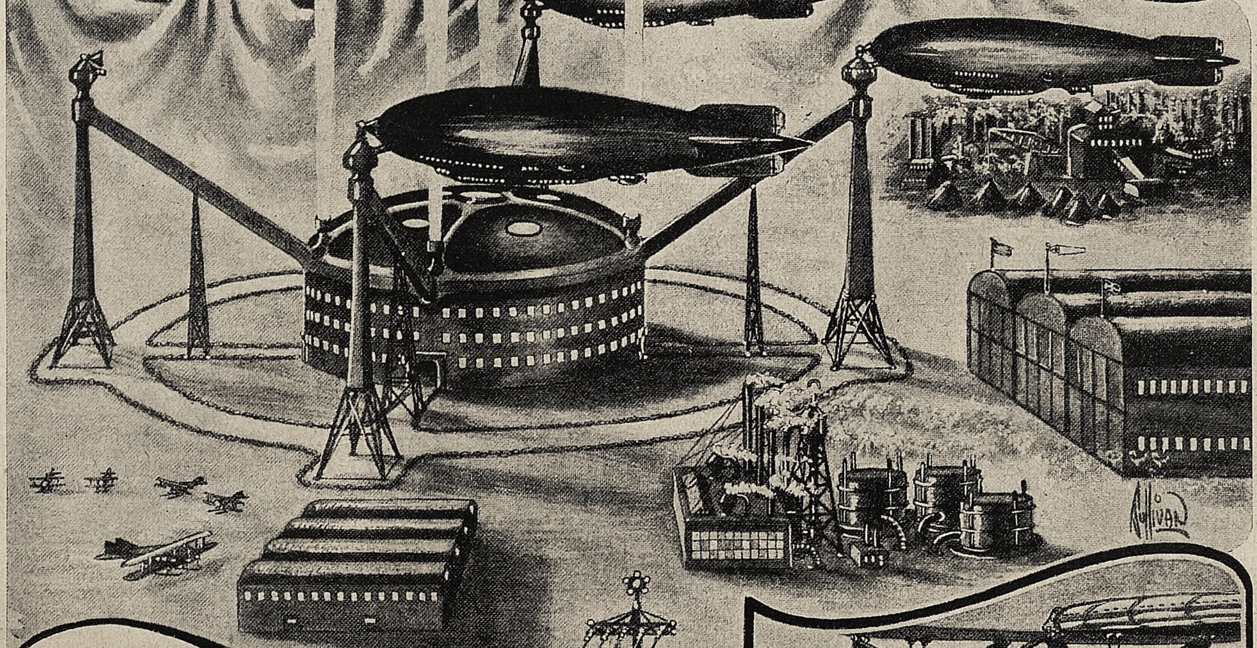
Są jednak przeistoczenia pierwiastków, któremi uczeni interesują się najwięcej, a mianowicie: przemiana krzemu skał na bardzo użyteczny glin; przemiana niewykorzystanego azotu z powietrza na węgiel, służący za pożywienie; lub wapno z naszych złóż wapiennych na potaż, którego nam brak wielki.

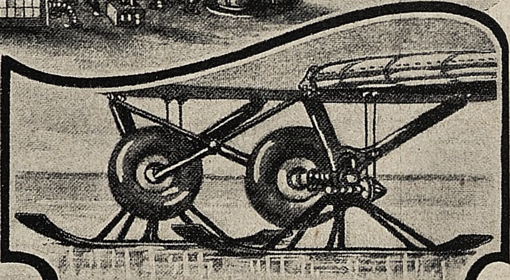
Miejmy więc nadzieję, że wobec tak szybkiego, jak obecnie posuwania się wiedzy w głąb tajników życia atomu, niedalekim jest dzień, w którym ludzkość będzie mogła przerobić skład naszej skorupy ziemskiej tak, aby odpowiadała ona lepiej pragnieniom naszym.

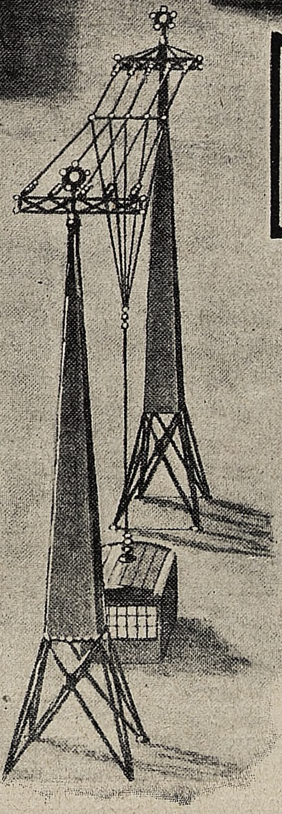
W opracowaniu Zygmunta Koczorowskiego.

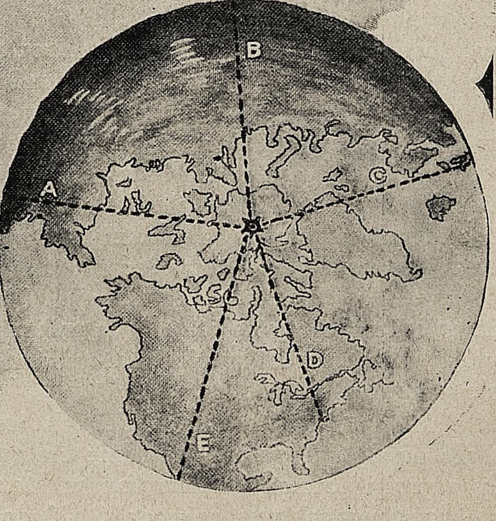
Połączenie z biegunem północnym.











Ilustracja przedstawia wizje praktycznego futurysty amerykańskiego, L. B. Robbinsa. Stara się on w ten sposób rozwiązać problem komunikacji powietrznej z biegunem północnym. Widzimy więc pośrodku wielki gmach, okrążony czterema masztami kotwicowemi dla statków powietrznych. Gmach ten służy jako stacja, a zarazem hotel dla pasażerów, którzy dostają się do statków zapomocą poprzecznych wind, łączących hotel z wierzchołkami masztów. Windę taką widzimy na rysunku górnym po prawej stronie. Stacja biegunowa, jak widzimy, zaopatrzona jest w fabryki z kominami dymiącemi. Wytwarzają one z miejscowych bogatych pokładów węgla gazy lekkie dla napełnienia niemi statków, oraz paliwo dla silników aeroplanowych. Urządzona jest także radjostacja, celem informowania całego świata o ruchu komunikacyjnym z biegunem. Szybkobieżne samoloty będą zaopatrzone w płozy, które ułatwią im lądowanie na polach śnieżnych lub lodowych.

CZY PRĘDKO BĘDZIEMY LATAĆ NA WŁASNYCH PŁATOWCACH?

Aleksander Klemin, profesor aeronautyki w uniwersytecie w Nowym Yorku, stwierdza na zasadzie niedawnych doświadczeń, że podobnie jak obecnie przemysł samochodowy wytwarza coraz to iżejsze typy samochodów, tak i w niedalekiej przyszłości przemysł samolotowy wytwarzać będzie małe, lekkie samoloty, jako środki powietrznej lokomocji. Na korzyść takich samolotów przemawia taniość ich konstrukcji, ekonomiczne i pewne działanie i stosunkowe bezpieczeństwo. Przewiduje on nawet, że samolot taki, wykonany według modelu 1925 roku można będzie zbudować sobie w domu kosztem 500 dolarów lub produkować je na sprzedaż po 1.500 dolarów za sztukę.

Niedawne wyścigi samolotów w Dayton wykazały, że chociaż lotnicy amerykańscy stosunkowo późno wzięli się do budowy lekkich samolotów, to jednak odrazu dorównali pod tym względem wytwórcom europejskim. Żaden z małych płatowców, biorących udział np. w wyścigu w Lympne, w Anglji, nie wykazał większej szybkości, ani też większego przelotu na galon (około 3 litrów) paliwa od płatowców, biorących udział w konkursie w Dayton. Jednocześnie jednak przekonano się, że Amerykanie mają jeszcze dużo do zrobienia w sprawie wytworzenia silnika odpowiedniego dla lekkiego samolotu.

Przeszło 80% samochodów, znajdujących się w Stanach Zjednoczonych, posiada cenę sprzedażną nie wyższą od 500 dolarów. Prawdopodobnie to samo się stanie z małemi samolotami. Ostatnia wojna wyszkoliła tysiące lotników, którzy pragną uprawiać nadal swe rzemiosło, a że dotychczas im się to nie udaje, to nie dlatego, że brak im dobrej woli i zdolności, lecz z powodu zbyt wysokiego kosztu dzisiejszego płatowca oraz kosztowności i kłopotliwego utrzymania.

W ostatnich czasach nadchodziły z rozmaitych krajów Europy, a w szczególności z Niemiec, wiadomości o niezwykłych wynikach, osiągniętych przy zastosowaniu samolotów bezsilnikowych, czyli tak zwanych ślizgaczy lub planerów. Wykonano loty, trwające osiem godzin, na lekkich płatowcach utrzymywanych w powietrzu jedynie siłą dążących ku górze prądów powietrznych. Wobec takich rezultatów powstały nawet wielkie nadzieje, że człowiek będzie mógł wkrótce, naśladując ptaka, unosić się dowolnie w powietrzną przestrzeń bez użycia siły mechanicznej. Samoloty bezsilnikowe zostały jednak wkrótce zdystansowane przez małe płatowce, latające w sposób zadowalający przy użyciu minimalnej siły mechanicznej. Amerykanie początkowo nie zdradzali większego zainteresowania się tą sprawą, lecz gdy w roku 1923 lotnik francuski Barbot przybył do Ameryki i zaprodukował samolot z silnikiem tylko piętnastu koni mechanicznych, który jednak osiągał szybkość przeszło sześćdziesięciu mil ang. (96 km.) na godzinę i wielkość przelotu równą 120 mil ang., to dopiero wówczas lotnictwo amerykańskie rozpoczęło pracę na tem polu.

Ostatniem jednak wydarzeniem, które spowodowało najwyższe zainteresowanie się tą sprawą, były wyścigi lotnicze w Dayton w stanie Ohio, gdzie rozgrywaną była nagroda 8.500 dolarów za szybkość i ogólną sprawność lekkich płatowców. Przed konkursem tym rozentuzjazmowana młodzież całego kraju studjowała z zapałem fotografje i opisy samolotów zagranicznych, a następnie drewniane szopy lub garaże przekształcała na swe pracownie, gdzie, pracując wieczorami, w niedziele i święta, kleciła samoloty, z których niektóre zasłynęły na konkursie w Dayton.

Obok popisów samolotów wyścigowych Pulitzera, olbrzymich „bombiarzy" samolotów, pokrywających wielką część powierzchni nieba zasłoną z dymu — oraz obok śmiałych ewolucyj powietrznych, wykonanych przez pilotów wojskowych, wielkie zainteresowanie tysięcy uczestników wzbudzały popisy małych płatowców. Stosownie do regulaminu moc silnika małego płatowca nie mogła być większą od dwudziestu koni mech., a obciążenie użyteczne nie mniejsze od 150 funtów. Jeżeli młody lotnik miał wagę dżokeja, to wówczas dodawano mu odpowiedni balast.

Domowi konstruktorowie mieli więc poważne trudności do przezwyciężenia, pomimo to jednak osiągnęli wyraźne powodzenie.

Nagroda jednego z dzienników w Dayton przeznaczona była jedynie za szybkość i tylko za szybkość. Zdobywca tej nagrody Johnson z Dayton, pomimo to, że wykonał okrężne loty wokoło oznaczonego miejsca, i że musiał wznieść się na przepisaną wysokość, przeleciał dwadzieścia pięć mil ang. ze średnią szybkością 54,07 mil na godzinę, przyczem mały płatowiec jego posiadał jedynie zwykły cztero-cylindrowy, motocyklowy silnik Hendersona o mocy 19,7 koni mech. Płatowiec ten przy pełnem obciążeniu ważył zaledwie 510 funtów, a wysokość jego od ziemi w zwykłej pozycji była mniejsza od wzrostu człowieka. Wydawał się on istnym karzełkiem w porównaniu ze stojącym opodal olbrzymim samolotem Barlinga, przeznaczonym do rzucania bomb, lecz pomimo to karzełek ten, posiadając zbiorniczek o pojemności tylko trzech galonów, mógłby jednym ciągiem przelecieć 120 mil ang. z maksymalną szybkością 70 mil na godzinę.

Zdobywca drugiej nagrody w tym wyścigu E. Dormay, podobnie jak jego poprzednik, był jednocześnie konstruktorem i pilotem swego płatowca. Starał się on więcej o nadanie swemu płatowcowi lekkości i prostoty, aniżeli o dobre właściwości aerodynamiczne. Samolot Dormoy'a został wkrótce ochrzczony imieniem „Wanna", ponieważ miejsce pilota podobne było do kąpielowej wanny, z której wysuwały się trójkątne beleczki, dźwigające powierzchnię ogona (sterów). Bez pilota płatowiec ten ważył tylko 250 funtów, tak iż jeden człowiek mógł z łatwością przyciągnąć go na linję

startu, gdy tymczasem do przeciągania z miejsca na miejsce samolotu bombowego Martina potrzeba nie mniej niż sześciu ludzi.

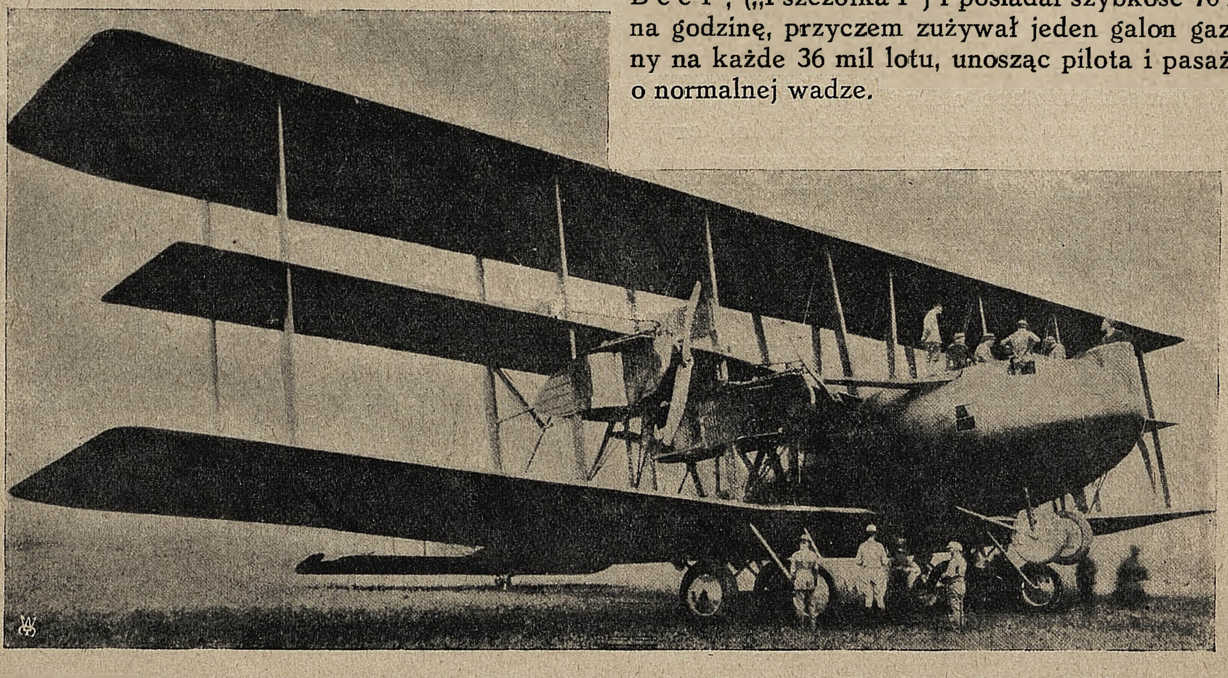
Druga nagroda dla małych płatowców wyznaczona była przez Tow. Cyklistów i Stow. Inżynierów w Dayton za sprawność, określoną przez podzielenie szybkości przez ilość zużytej gazoliny. H. Mummert przeleciał w tem współzawodnictwie 50 mil. ang., z szybkością tylko 38.24 mil na godzinę, ale jedynie dlatego, iż wiedział on, że przy tej szybkości płatowiec jego zużywa minimum mocy i paliwa. Dwucylindrowy silnik motocyklowy Harley-Dawidson tego płatowca zużył mało co więcej aniżeli jeden galon paliwa, przyczem wydatek poniesiony na kupno takowego, wynoszący około 40 centów amerykańskich, dał szczęśliwemu zwycięzcy dochód w sumie 1.500 dol., jako nagrodę za szybkość i 800 dol. za sprawność. Mały płatowiec Mummerta posiadał siłę nośną równą wadze 14 galonów gazoliny i mógł przelecieć jednym lotem z Nowego Yorku do Chicago.

Zawody lotnicze w Dayton wykazały jednak brak dobrych silników w Ameryce. W pierwszym wyścigu małych płatowców tylko trzech współzawodników ukończyło swój lot, gdyż wszyscy inni musieli wylądować wskutek wad silników. W drugim wyścigu współzawodnicy lądowali, majstrowali przy silniku i wzlatywali ponownie. Mały silnik jest bardzo mocny, gdy biegnie szybko, lecz drgania psują zazwyczaj zbyt słabą jego obsadę. Śmigło zaś działa dobrze, obracając się wolniej. Wobec tych właściwości, konstruktorowie francuscy i angielscy budują już małe silniki, posiadające przy tej samej mocy nieco większe cylindry, biegnące stosunkowo wolno. W silnikach takich unika się szkodliwych drgań i łańcuchowego napędu pomiędzy silnikiem i śmigłem, które były przyczyną wielu niepowodzeń w czasie konkursu w Dayton.

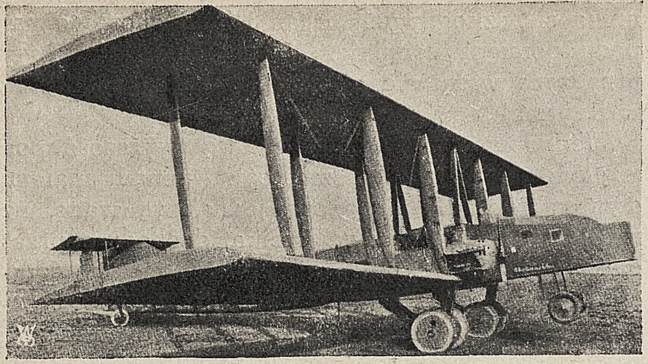
Jednopłatowce wykazały swą wyższość pod względem wyglądu i szybkości ponad małemi dwupłatowcami. Miały one jednak tę wadę, że rozpiętość skrzydeł była wielka, dochodząc przeciętnie do 27 stóp, gdy tymczasem w małych dwupłatowcach powierzchnia nośna rozdziela się równolegle na skrzydło górne i dolne, dzięki czemu są one o wiele mniejsze.

Zarówno zwycięzcy jak i ci co zostali wtyle w zawodach w Dayton projektują nowe samoloty, jedni ze względu na przyszłe konkursy, a drudzy z myślą o wytwarzaniu ich na sprzedaż. W każdym razie można już z całą pewnością przewidzieć, jak będzie wyglądał model 1925 roku.

Motocykl bez przyczepnego kosza pozwala jedynie na jazdę bez towarzystwa, ale osamotnienie w czasie beztowarzyskiego lotu w samolocie jest jeszcze większe. Nic wówczas nie zamąca monotonji błękitnego nieba i przezroczystego powietrza; — nie słychać nawet argumentacji policjanta, kierującego ruchem ulicznym... Znane były wypadki, że w czasie długiego nieprzerwanego lotu lotnik zasypiał na swym foteliku i dopiero jakiś niebezpieczny ruch samolotu, pozbawionego kierownictwa, płoszył sen z jego oczu. Konstruktorowie małych płatowców zdają sobie jasno z tego sprawę i dlatego dążyć będą do stworzenia wygodnego „samolotu-muchy" na dwie osoby. W konkursie angielskim w Lympne brał już udział mały płatowiec dwuosobowy, który posiadał silnik Cherub'a o mocy 30 koni mech., zwał się „W e e B e e I", („Pszczółka I") i posiadał szybkość 70 mil. na godzinę, przyczem zużywał jeden galon gazoliny na każde 36 mil lotu, unosząc pilota i pasażera o normalnej wadze.



Torpedowiec powietrzny. Największy samolot „Barling N. B. L. I" o 6 silnikach po 400 HP każdy.



Farman — samolot transportowy B. N. 4. — 2 silniki po 370 HP.

Gdybyśmy chcieli uczynić dwuosobowy płatowiec ładnym, to musielibyśmy powiększyć jego rozmiary. Aby więc nie pozbawiać lekkiego płatowca jego poręczności i łatwego przechowywania, konstruktorowie uciekać się będą bezwątpienia do typu dwupłatowego, pomimo że posiada on szybkość mniejszą od jednopłatowców. Taki „dziecinny" płatowiec będzie mógł być przechowywany w garażu samochodowym, gdyż skrzydła jego będzie można odpowiednio złożyć.

Model 1925 roku nie będzie jednak bardzo tani. Silnik będzie kosztować około 250 dolarów, koszt materjałów, jeżeli będą kupowane w niewielkich ilościach, dojdzie do 200 dol. a i robocizna przy obróbce i składaniu pochłonie również pewną sumę, tak iż w wypadku gdy młody człowiek będzie budował płatowiec sam dla siebie, koszt takowego wyniesie 500 dol., a gdy zechce go kupić, to 1.500 dolarów nie będzie ceną zbyt wygórowaną.

Sprawa ta będzie jednak przedstawiała się zupełnie inaczej, gdy zastosuje się masową produkcję. — Lawrence Sperry, dzielny, młody lotnik i konstruktor, który, niestety, zginął przy przelatywaniu kanału, dzielącego Anglję od Europy, wziął wypadkowo tylko udział w zawodach lotniczych w Detroit w roku 1923, gdzie zaprezentował swój płatowiec — „Zwiastun Sperrego" Henrykowi Fordowi, temu apostołowi masowej produkcji i rzekł, że trójcylindrowy 60-konny model kosztować będzie 1.500 dol. Ford obejrzał starannie mały płatowiec i rzekł, że cylindry z obrobionej stali należy zastąpić odlewem żelaznym, obrobioną starannie skrzynkę korbową — zastąpić odlewem z aluminjum, a następnie poczynić niektóre zmiany, zwiększające nieco wagę, lecz nie zmniejszające mocy, a wtedy będzie on mógł produkować takie same płatowce nie po 1.500 lecz po 50 dolarów. — Wiele razy jeszcze potem Ford oświadczał, że małe płatowce mogą być produkowane taniej od jego słynnych samochodów i nie ulega wątpliwości, że, mając odpowiednio wielki rynek zbytu, mógłby on je tak tanio wytwarzać.

Nie ulega więc wątpliwości, że można już budować po dostępnej cenie małe, wygodne, dwuosobowe płatowce, które latać będą z życzoną szybkością i zużywać nadzwyczaj małą ilość gazoliny do pędzenia silnika. Powstaje jednak jeszcze kwestja, czy samolot taki będzie dawał dostateczne bezpieczeństwo lotu, aby mógł skłonić publiczność do kupowania go i użytkowania, co jest niezbędnym warunkiem taniości.

Czy ma jednak lekki samolot jakąkolwiek wyższość pod tym ostatnim względem w stosunku do swych silniejszych powinowatych? Otóż posiada on wyższość pokrewną tej, jaką ma pospolita mucha nad bombowym samolotem Barlinga. Natura daje bowiem małym strukturom lekką budowę, a więc muchę można zrzucić z ogromnej w stosunku do jej rozmiarów wysokości i bynajmniej jej nie uszkodzić.

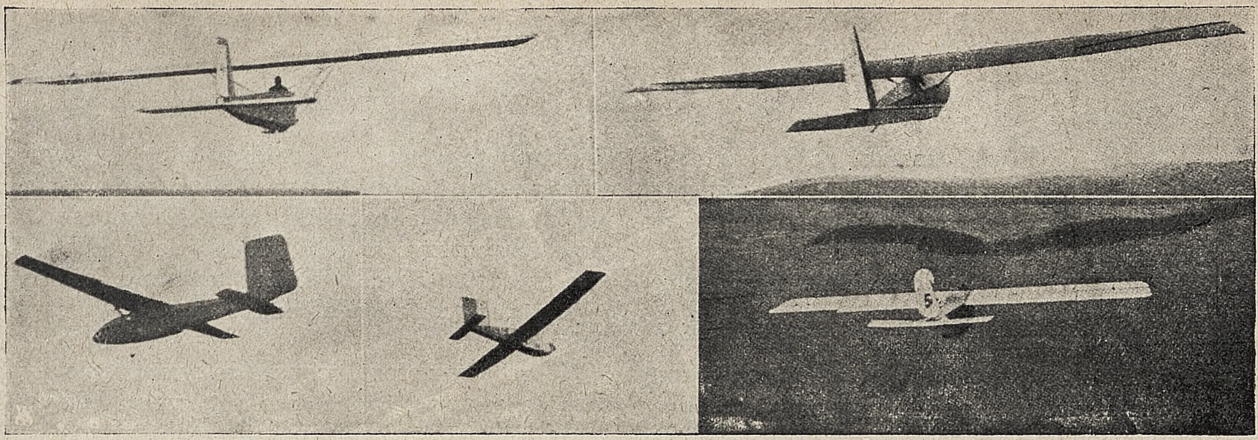
A proszę sobie wyobrazić skutki spadnięcia wielkiego Barlinga z wysokości chociażby tylko dziesięciu stóp! Widzimy więc, że mała struktura latająca jest zawsze lżejszą w stosunku do swych rozmiarów, aniżeli to ma miejsce w strukturze wielkiej, a wobec tego należy budować małe płatowce, aby otrzymać bardzo wielką powierzchnię skrzydeł w stosunku do ich wagi.

Mniejsze obciążenie skrzydeł daje mniejszą szybkość lądowania, a więc mały płatowiec, lądujący przy szybkości mało co większej od 20 mil na godzinę, ma mniejszą ewentualność rozbicia się przy złem lądowaniu, aniżeli wielki płatowiec, który musi zbliżać się do ziemi z szybkością kurjerskiego pociągu. W czasie wypadku przy lądowaniu lotnik może się trochę potłuc, a samolot zostanie mniej lub więcej uszkodzony, ale będzie on mógł w każdym razie podnieść się o własnych siłach i będzie znowu latał. Francuski lotnik, Barbot, przelatując z New Yorku do Waszyngtonu, wylądował na drzewo i został stamtąd haniebnie ściągnięty, ale nie doznał najmniejszego nawet zadraśnięcia. Chociaż więc lekki płatowiec wymaga wielkiej uwagi przy kierowaniu, to jednak jest bezporównania bezpieczniejszy od wielkich samolotów.

Jeszcze inna właściwość przyczyni się prawdopodobnie do spopularyzowania małego płatowca, a mianowicie, to, że nie wymaga on specjalnego hangaru i że po złożeniu skrzydeł będzie mógł o własnych siłach potoczyć się na pobliskie lotnisko. Istotnie, nie będzie zbyt trudno jechać w tym wózku o szerokości 4 stóp i długości około 15 stóp po szosie, a nawet i po ulicach miasta, jeżeli natu-



Samolot angielski „Avro" typ 558, małosilnikowy.



Typy samolotów bezsilnikowych, t. zw. szybowców.

ralnie nie są one tak zatłoczone, jak niektóre ulice Warszawy.

Mały płatowiec, będąc lekko obciążony, rusza bardzo prędko z miejsca i wznosi się po osiągnięciu szybkości tylko piętnastu lub dwudziestu mil na godzinę i przetoczeniu się na odległość 50 do 100 stóp. Można więc będzie wznieść się, korzystając z jakiejkolwiek otwartej przestrzeni, a przymusowe lądowanie nie będzie już napędzało tyle strachu lotnikom. „Zwiastun" Sperrego lądował na nadbrzeżnym bulwarze Riverside w New Yorku.

W małych miastach w szczególności mały płatowiec będzie w wielkiem użyciu. — Wyobraźmy więc sobie prowincjonalnego lekarza, odbywającego swe wizyty, unosząc się w powietrzu, a więc nie napotykając żadnych wioskowych trudności, lub komiwojażera, przelatującego ze swemi próbkami od miasta do miasta, lub wreszcie studenta, udającego się do uniwersytetu i lądującego wdzięcznie na boisku. — Nie należy również w to wątpić, że płaskie dachy naszych większych budowli dadzą się zużytkować jako miejsce lądowania i postoju dla małych płatowców, dla których nie znajdzie się już przecie miejsca na coraz bardziej zatłoczonych samochodami ulicach.

Mały samolot stanie się wkrótce najpraktyczniejszym i najbardziej rozpowszechnionym środkiem lokomocji.

Z. K.

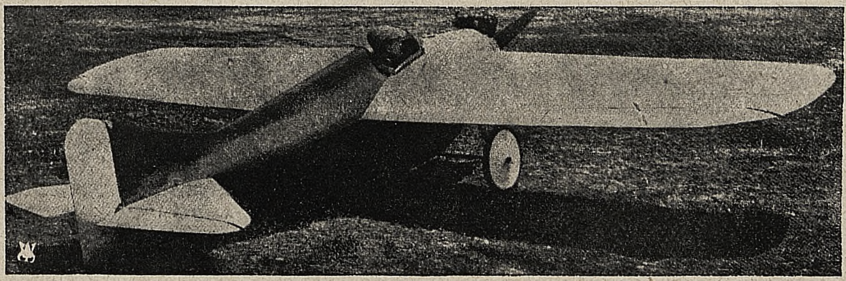
H. FORD ZAPOWIADA MASOWĄ PRODUKCJĘ SAMOLOTÓW.

Ostatnie wiadomości telegraficzne z Ameryki donoszą, że Henry Ford, ten genjusz przemysłowy, nabył na własność zakłady samolotowe i zamierza przystąpić do budowy samolotów na wielką skalę.

Po długim okresie badań i doświadczeń Henry Ford zbudował typ samolotu transportowego wyłącznie z metalu, który ma służyć celom praktycznym, mianowicie do przewożenia poczty i bagażu.

Próbne loty dały wyniki doskonałe i obecnie firma Forda zapowiada, że czyni przygotowania do wypuszczania z fabryk narazie jednego samolotu dziennie. W miarę wzrostu zapotrzebowania zarówno ze strony rządu Stanów Zjednoczonych jak i firm i osób prywatnych, produkcja samolotów może być doprowadzona do pożądanych rozmiarów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że następnym krokiem na drodze wytwórczości zakładów Forda będzie mały dwuosobowy aparat, który stanie się w takiej samej mierze środkiem lokomocji, dostępnym dla najszerszych mas ludności, jakim jest obecnie samochód Forda. Niewątpliwie też dorastające pokolenie będzie urzeczywistniało te wizje w niedalekiej przyszłości, o których mówi końcowy ustęp artykułu.



Sportowy samolot Munemert. Silnik Harley-Davidson 15 HP.

CZEGO POTRZEBUJE KUPUJĄCY?

Za „dobrych dawnych czasów" gdy rękodzielnik znał osobiście swą klientelę, dla której wyrabiał towary na miarę lub zamówienie, gdy kupiec znał po imieniu swych wszystkich odbiorców i wiedział doskonale, kto co kupuje, w jakiej ilości i jak płaci". Szewc nie namyślał się, który gatunek skóry sprowadzić i w jakiej ilości, gdyż znał swych odbiorców, ich gusta, nogi i kieszenie; tak samo kupiec wiedział doskonale, jakie rodzynki smakują najlepiej sąsiadom i ile ich się zużywa na wielkanocne święta. Wiedział szewc o każdym ślubie i zawczasu zamawiał najładniejsze skórki na pantofelki panny młodej, a kupiec zwoził antałki wina czy miodu. Idylla w przemyśle i handlu była powszechna.

Gdy jednak przyszedł przemysł fabryczny, który dał nieznane przedtem masy towaru, gdy koleje żelazne usunęły rogatki i zamieniły rynek lokalny w rynek krajowy i światowy, sielanka znikła na zawsze. Rzemieślnik, który przemienił się w fabrykanta, kupiec, zaspokajający dotąd tylko potrzeby lokalne, który nagle zaczął sprzedawać osobom zamieszkałym od niego o setki i tysiące kilometrów, stracili kontakt z odbiorcami swymi. Liczba ich urosła do miljonów, ich pragnienia, potrzeby przestały już być znanemi fabrykantowi czy wielkiemu kupcowi, którzy nawet nie wiedzieli, gdzie znajdują się odbiorcy ich towarów. Ten jednak brak kontaktu z odbiorcami nie dawał się we znaki, dopóki popyt za towarem był większy, niż podaż towaru, gdy odbiorcy szukali towaru, a nie towar odbiorców. Największą wówczas troską fabrykanta było nie szukanie kontaktu z masą odbiorców swych towarów, lecz powiększanie produkcji do maksimum; o zapatrywanie konsumentów nie troszczył się wcale: społeczeństwo, nie mając wyboru, brało każdy towar. Niespostrzeżenie sytuacja się zmieniła: coraz nowsze maszyny; lepsze metody pracy, powstawanie olbrzymich przedsiębiorstw stworzyły masową produkcję, produkcję przewyższającą konsumcję. Podaż towaru stała się większa od popytu i rezultatem tego była zmiana ról: zamiast odbiorcy szukać towaru, zmuszony został towar do szukania odbiorców, a raczej jego wytwórca i w sprzedaży pośredniczący kupiec. Społeczeństwo, mając liczny wybór najrozmaitszego towaru, wybierało ten, który mu najlepiej dogadzał, który najlepiej zaspokajał jego potrzeby i życzenia. Fabrykant, którego wyroby nie odpowiadały wymaganiom publiczności, tracił na korzyść producenta, który umiał zastosować swe towary pod rozmaitemi względami do wymagań publiczności: czy to pod względem jakości, czy tylko opakowania, czy wreszcie ceny i sposobu sprzedaży. I dopiero teraz problem nawiązania utraconego już dawno kontaktu z odbiorcami stał się aktualny. I początkowo napozór niemożliwy do wykonania: w jaki sposób poznać te miljony ludzi, gdzie ich szukać, w jaki sposób dotrzeć do nich, by dowiedzieć się od nich bezpośrednio, jaki towar im najlepiej odpowiada, ile go kupują, kiedy i po jakiej cenie?

W rzeczywistości jednak doświadczenia wykazały, że bez względu na rozmiary rynku, bez względu na jego skomplikowaną strukturę można rynek zbadać z dokładnością, jeżeli nie z matematyczną, to w każdym razie dla fabrykanta czy kupca w zupełności wystarczającą.

Naturalnie, trzeba było stworzyć metody, któreby pozwoliły badanie rynku nie tylko olbrzymim przedsiębiorstwom, posiadającym wielkie kapitały i odpowiednich dobrze płatnych ekspertów, ale i małym firmom, produkującym względnie sprzedającym tylko pewne towary na rozległym rynku, nie posiadającym jednak ani odpwiedniego budżetu na kosztowne badania, ani też osobnego personelu do tej pracy. I metody te dały Stany Zjednoczone, które, po długoletnich próbach i doświadczeniach najrozmaitszych przedsiębiorstw, instytutów naukowych, uprościły je do minimum i uczyniły je dostępnemi dla każdego przedsiębiorstwa. Nic dziwnego, że Stany Zjednoczone były tym krajem: w Stanach Zjednoczonych powstały metody masowej produkcji, która przewyższyła znacznie podaż towaru nad popytem. Stany Zjednoczone, posiadające około 5% ludności całego świata, wytwarzają około 35% towarów ogólnej produkcji światowej; dlatego Amerykanin musiał pierwszy do swej organizacji masowej produkcji stworzyć organizację masowej sprzedaży, którąby nieznane dotychczas masy towaru rozdzieliła pomiędzy miljony konsumentów. A znajomość rynku była podstawą każdej organizacji masowej sprzedaży. Stworzył więc Amerykanin dla swej masowej produkcji „Market Analisis", „analizowanie rynków". Podczas gdy u nas przeciętny producent lub kupiec nie wie dokładnie, kto jest nabywcą jego towaru, dlaczego inni możliwi odbiorcy nie kupują jego towaru i wogóle dla niego rynek zbytu przedstawia się jak wielki znak zapytania, to amerykański przemysłowiec zna, względnie może poznać rynek zbytu swych towarów dokładnie zapomocą właśnie „analizy rynku". Rynek dla niego to nie zbiór rozmaitych przypuszczeń, poglądów i pogłosek, ale zestawienie dokładnych cyfr i faktów, które doskonale pozwolą mu zastosować swe zasady sprzedaży i jej organizację do struktury danego rynku.

„Analizowanie rynku" — wyrażenie nasuwające myśli jakiegoś nadzwyczaj skomplikowanego procesu, dostępnego tylko ludziom wtajemniczo-

nym, przeprowadzanego w olbrzymich salach i skomplikowanemi maszynami, jest w rzeczywistości określeniem bardzo niewinnego i łatwego zadania, polegającego głównie na umiejętnem zestawieniu najrozmaitszych pytań, następnie wyszukaniu najlepszych na nie odpowiedzi i ułożeniu ich w odpowiedni sposób.

Cała Analiza rynku składa się z następujących prac pojedyńczych:

1. Rozłożenie całego problemu podlegającego badaniu na pojedyńcze zagadnienia. Następnie ułożenie odpowiednich pytań, na które otrzymane odpowiedzi wyjaśnią nam dokładnie pojedyńcze zagadnienia. Ta część pracy przeprowadza się wewnątrz danego przedsiębiorstwa.

2. Zbieranie tych odpowiedzi od odpowiednich osób, firm czy władz, w rozmaity sposób, przedstawiony poniżej. Praca ta jest zewnętrzna. Zależy ona nie tylko od przedsiębiorstwa, ale od niezależnych czynników, któremi są odpowiadający.

3. Po otrzymaniu potrzebnych dat i faktów odpowiednie ich ułożenie statystyczne i interpretacja.

Ze względu na różnorodność problemów rozmaitych przedsiębiorstw handlowych czy przemysłowych, niemożliwem byłoby podanie dokładne rozmaitych pytań, jednakowych dla wszystkich analiz, niepodobne tak samo byłoby podanie jednakowych dla wszystkich źródeł informacyjnych. Można tylko przedstawić ogólne zasady, któremi się należy kierować przy analizowaniu rynku dla otrzymania najlepszego wyobrażenia, czy wyjaśnienia danego problemu.

Przedewszystkiem każdy problem, który ma być zbadany, trzeba rozłożyć na poszczególne zagadnienia. Najbardziej skomplikowany problem zdaje się być najłatwiejszem zadaniem, gdy rozłożymy go na pojedyńcze proste pytania, na które odpowiedzi będą cyframi, czy też może tylko „tak" albo „nie". Po rozłożeniu w ten sposób skomplikowanego zagadnienia na pojedyńcze zapytania trzeba będzie te pytania podzielić na rozmaite grupy, stosownie do sposobu, w jaki pytania te będą odpowiadane.

Sposobów tych jest trzy: bibljograficzny, korespondencyjny i osobisty. Pierwszy rodzaj to szukanie odpowiedzi na poszczególne pytania kwestjonarjusza w rozmaitego rodzaju książkach, broszurach, statystykach i t. p. Drugi sposób to wysyłanie kwestjonarjusza, zawierającego pytania, do rozmaitych osób i instytucyj, których odpowiedzi mogą być miarodajne dla zbadania danego problemu. Trzeci rodzaj wkońcu to zbieranie informacyj od firm i osób pojedyńczych, za pośrednictwem własnego personelu, zaznajomionego ze sposobem zadawania odpowiednich pytań jak i zbierania odpowiedzi.

Pierwszy sposób: szukanie informacyj z rozmaitych druków, zazwyczaj rozpoczyna analizę rynku. Badający przychodzi już do gotowego materjału, przygotowanego przez innych i zebranego dla rozmaitych celów. Przedewszystkiem w ten sposób otrzymuje się materjał statystyczny wszelkiego rodzaju: zaludnienie, bogactwo, zatrudnienie, zestawienie najrozmaitszych gałęzi produkcji i t. p. Badający otrzymuje p o d ł o ż e do swych poszukiwań, więcej już specjalnych. Materjał ten bibljograficzny ma jednak wielką wadę, która często wprowadza w błąd niedoświadczonych inwestygatorów: jest niedokładny. Niedokładny z dwóch powodów: albo z powodu jakiegokolwiek wadliwego systemu zbierania statystyki, posiadającej wskutek tego cyfry i daty fałszywe od samego jej początku, względnie tendencyjnego przedstawiania faktów przez autorów książek, albo też z powodu przedawnienia. Wiele materjału bibljograficznego pochodzi z przed kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu lat i w rezultacie ma problematyczną wartość dla pragnących zapoznać się z bieżącemi stosunkami. Do materjału bibljograficznego, prócz rozmaitych książek i zestawień statystycznych, należą tak samo wydawnictwa perjodyczne, zwłaszcza czasopisma fachowe; ich roczniki są prawdziwą kopalnią najrozmaitszych dat, informacyj, wskazówek inną drogą niemożliwych do wyszukania. Ale nietylko same czasopisma fachowe są źródłem informacji. Tak samo wielką pomoc mogą oddać badającemu redaktorzy tych czasopism: mogą oni nie tylko udzielić rozmaitych informacyj co do badanego przedmiotu, ale tak samo wskazać źródła informacyjne, przeoczone przez badającego i które są w wielu wypadkach w biurach redakcyjnych łatwe do przejrzenia.

Sumując wszelkiego rodzaju źródła informacji bibljograficznej, można je wszystkie zestawić w następujący sposób:

A. Książki, odnoszące się do:

1) przemysłu w ogólności, 2) danego produktu, danego rynku zbytu, 3) organizacji sprzedaży danego produktu, wzgl. produktów podobnych.

B. Statystyka: 1) rządowa, 2) władz lokalnych, organizacyj handlowych i przemysłowych.

C. Wydawnictwa perjodyczne: 1) czasopisma fachowe, zajmujące się produktem handlowym lub też sprzedażą tych produktów, 2) czasopisma ekonomiczne ogólne, 3) dzienniki i czasopisma treści ogólnej.

D. Rozmaite druki, jak cenniki i katalogi, sprawozdania, roczniki, ogłoszenia najrozmaitszego rodzaju i t. p.

Powyższy materjał statystyczny można otrzymać w bibljotekach: 1) publicznych ogólnych, 2) publicznych fachowych, 3) prywatnych i stowarzyszeniowych, 4) instytucyj naukowych, 5) archiwach rządowych, 6) pism fachowych, 7) firmy, 8) od firm zajmujących się produkcją, względnie sprzedażą danego produku, i której materjałem bibljograficznym są cenniki, katalogi i t. p. wydawnictwa.

Olgierd Langer

JÓZEF TARGOWSKI
Pierwszy Przedstawiciel Rzeczypospolitej Polsk. na Dalekim Wschodzie

„BIALI I KOLOROWI"

1. *Polityka kolonjalna państw i monografja Algerji.*
2. *Konflikt na Pacyfiku. Imperjalizm Japoński.*
3. *Nowe szlaki kultury. Narodowe Państwa Wschodu pod wpływem cywilizacji białych.*

Społeczeństwo polskie, karmione zagadnieniami wewnętrznej polityki partyjnej i rozwałkowanemi do obrzydliwości również wewnętrzno-partyjnemi sprawami państw europejskich, alarmowane co chwila przez wydymanie takiego czy innego odezwania się prasy angielskiej lub francuskiej na temat nowych granic — zupełnie nie orjentuje się w powodach i przyczynach polityki światowej. Mało kto w Polsce zdaje sobie sprawę, jak decydujący wpływ na politykę Anglji, Francji, Włoch, Japonji i Stanów Zjednoczonych, a nawet Hiszpanji wywierają sprawy nic prawie nie mające wspólnego z temi krajami. Są to jednak kwestje o znaczeniu wszechświatowem, tak doniosłem, że wszelkie wewnętrzno - europejskie bolączki ustępują im gwałtownie miejsca. Mało tego, bardzo często stosunek do Polski, zapatrywanie np. Anglji na sprawę korytarza Gdańskiego — mają swe źródło w zupełnie nieeuropejskich konfliktach na Pacyfiku, czy oceanie Indyjskim. A kwestja rosyjska staje się tylko jednem ogniwem potężnych problematów azjatyckiego i muzułmańskiego.

„Biali i Kolorowi" to właściwie cykl ciekawych monografij, mający zobrazować te najważniejsze zagadnienia wielu ras, polityk, cywilizacyj. Pan J. Targowski przedstawia je pod kątem widzenia Polski, jej dążeń, celów i potrzeb. Pierwszy tom, który się świeżo ukazał na półkach księgarskich (reszta w przygotowaniu) — omawia przedewszystkiem różnice rozwoju cywilizacyjnego i kulturalnego — rasy białe hołdują kulturze technicznej i cywilizacji materjalistycznej,— rasy kolorowe kładą główny nacisk na kulturę duchową i cywilizację moralną. — i wpływ tych różnic na społeczeństwa.

Dalej podaje cechy charakterystyczne polityki kolonjalnej angielskiej i francuskiej i wykazuje ich rezultaty. A w związku z tem gorąco zajmuje się emigracją polską i analizuje jej drogi, wskazuje szlaki, któremi można ją skierować. Ponieważ jednym z jej kresów jest obecnie Afryka północna, a głównie Alger, zamieszcza p. Targowski ciekawy opis tej bogatej kolonji, popierając treść licznemi fotografjami i mapami. Wszystkim interesującym się polityką, emigracją lub ekonomją, polecamy gorąco cykl p. Targowskiego, dla zachęty zaś zamieszczamy fotografję z Algeru.



Oaza w Biskrze.

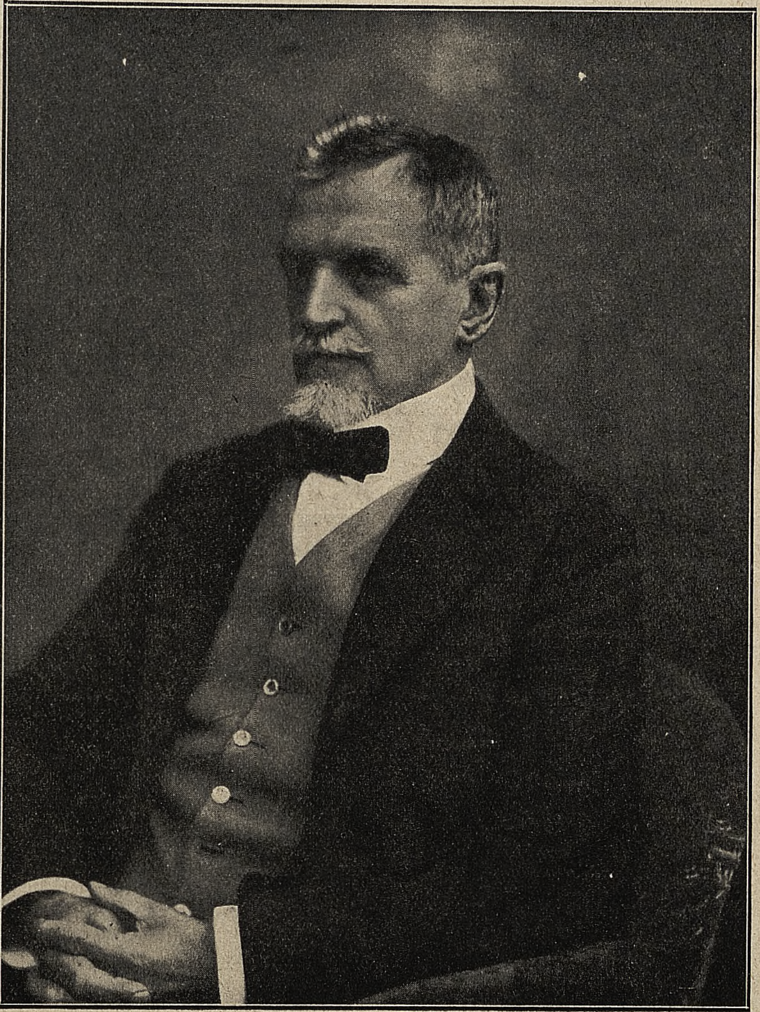
BANK HANDLOWY W WARSZAWIE

KRÓTKI ZARYS HISTORYCZNY.

Bank Handlowy w Warszawie powstał w początkach 1870 roku na zasadach spółki akcyjnej i należy do jednej z najstarszych w Europie instytucji kredytowej, opierającej swoją egzystencję na składkowym kapitale akcyjnym.

Działalność Banku Handlowego podzielić można na kilka okresów: okres 1-szy obejmuje lata 1870—71. Był to okres organizacji Banku i ugruntowania się w życiu ekonomicznem kraju. Okres 2-gi obejmuje lata 1872 — 1878, to jest do czasu zgonu Leopolda Kronenberga. W tym okresie ustala się kierunek prac Banku i wzmagają pierwsze jego postępy. Bank powiększa w tym okresie swój kapitał akcyjny do 6 miljonów rubli i przezwycięża 2 przesilenia pieniężne, jedno w 1873 r., wywołane spekulacją na giełdach niemieckich i drugie w 1877 roku z powodu wojny rosyjsko - tureckiej.

Okres 3-ci trwa od 1879 do 1890 r. W tem dwunastoleciu Bank Handlowy trwa w miarowym rozwoju i siłą nabytego rozpędu przystosowuje się do powszechnych postępów ekonomicznych w Królestwie. Obroty rosną, lecz w granicach stosunkowo umiarkowanych. Na czele rady Banku po śmierci Leopolda Kronenberga staje przez dwa lata spółzałożyciel Banku Juljusz Wertheim, a od roku 1881 do 1887 dr. Stanisław Kronenberg. W roku 1887 prezesem Rady zostaje syn Leopolda Kronenberga, Leopold bar. Kronenberg, kierujący niestrudzenie nawą Banku do obecnej chwili. Dyrektorem Banku przez cały ten czas pozostaje wielce zasłużony dla rozwoju Banku, Karol Deike.



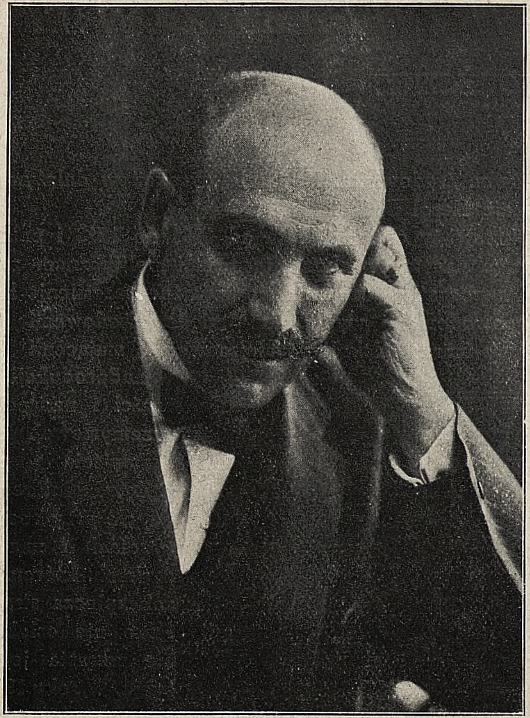
Leopold bar. Kronenberg
Prezes Rady naczelnej.

Okres 4-ty obejmuje ostatnie dziesięciolecie zeszłego wieku. Jest to okres znacznego rozwoju ekonomicznego kraju, co odbija się też na wzroście obrotów Banku. Kapitał akcyjny podnosi się dwukrotnie, raz do 9 miljonów, potem do 12 miljonów rubli. Powstają liczne filje na prowincji, dzięki czemu Bank rozszerza swe bezpośrednie wpływy na główne środowiska. Na czele dyrekcji w dalszym ciągu pozostaje Karol Deike.

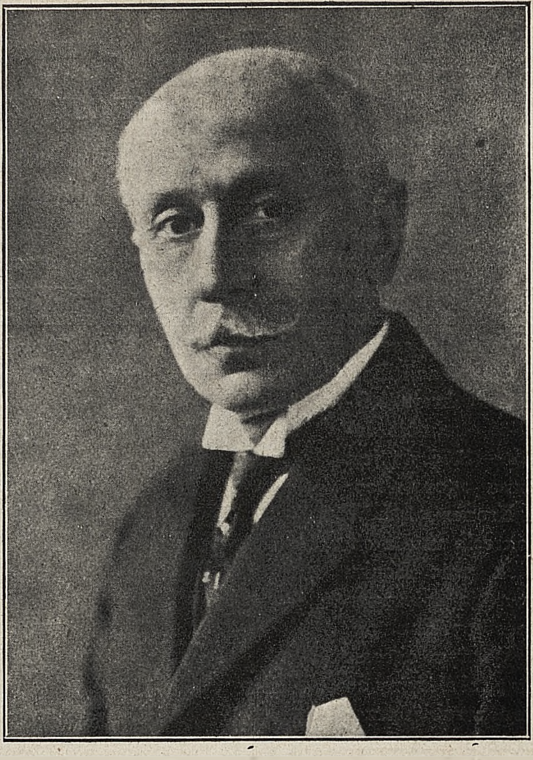
Okres 5-ty obejmuje lata od 1901 do 1913 i pełny jest zmiennych w życiu ekonomicznem i politycznem momentów. Na początku przejawia się poważne przesilenie handlowe, spowodowane wypadkami międzynarodowemi (wojna angielsko-transwaalska) i miejscowemi, mającemi źródło w nadprodukcji, a poczęści i nadspekulacji przemysłowej. Ma to oczywiście pewien wpływ na interesy Banku, ale przy rosnących obrotach i znacznych zyskach, któremi Bank zabezpiecza straty, nie tylko nie osłabia się, ale wzrasta jego pozycja. W roku 1904 wybuchła wojna rosyjsko-japońska, a potem w 1905-6 srożyła się rewolucja. Bank Handlowy wychodzi jednak z tych wstrząśnień zwycięsko. Około roku 1909 życie gospodarcze wraca do kolei normalnej, a nawet czyni nowe postępy. Obroty Banku znacznie wzrastają i jest to okres największego rozkwitu interesów Banku. Kapitał zakładowy Banku podnos się do 20.000.000 rubli, a dywidendy wynoszą około 12%. Dyrekcję sprawuje do roku 1906 Karol Deike, a później stanowisko to obejmuje drugi zasłużony wieloletni pracownik Banku, Wojciech Sawicki.

Okres następny — lata 1914 — 1918 — to era wielkiej wojny. Niweczy ona równowagę całego życia gospodarczego, a osobliwie ustroje ekonomiczne w naszym kraju. I Bank Handlowy w tym okresie przechodzi poważne wstrząśnienia, ponosi olbrzymie straty przez konfiskatę swych oddziałów w Petersburgu i Kijowie i rozstrój życia gospodarczego w kraju, stara się, jak może, pomagać pozostałym resztkom przemysłu i handlu i ostatecznie wychodzi zwycięsko ze zniszczeń wojennych i późniejszej okupacji niemieckiej.

Okres siódmy obejmuje lata od 1918 do 1923. Bank Handlowy stara się dostosować do nowych zadań, mających

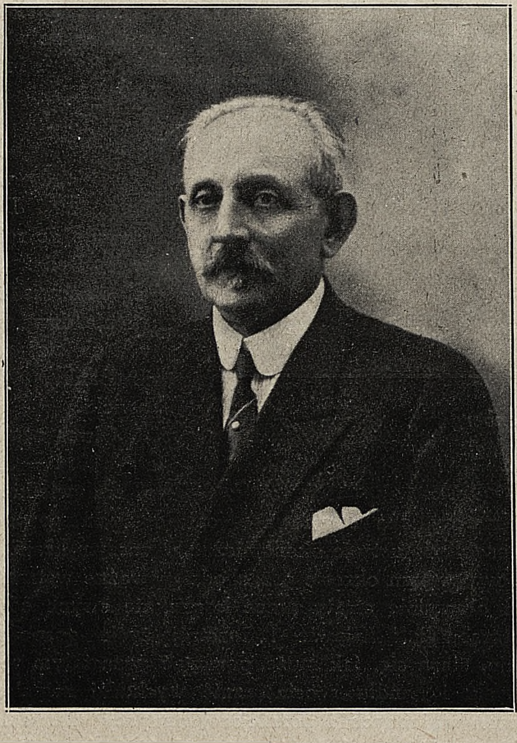


Antoni Wieniawski
Wice-prezes Rady Banku Handlowego w Warszawie.



Henryk Szampanier
Dyrektor Naczelny Banku Handlowego.

na celu rozwój życia gospodarczego niepodległej Polski, ale inflacja pieniądza i deprecjacja marki polskiej stanowią opór niepokonany. Kapitały płynne Banku topnieją, wkłady, wskutek zaniku zmysłu oszczędności w społeczeństwie, zamierają całkowicie i Bank z wielkim wysiłkiem stara się choć w części ulżyć ciężkiemu położeniu przemysłu i handlu. Pomimo parokrotnych emisyj nowych akcyj i doprowadzeniu kapitału akcyjnego do 1.200.000.000 marek, Bank Handlowy narówni ze wszystkiemi instytucjami kredytowemi, nie może sprostać zapotrzebowaniu rynku pieniężnego



Maksymiljan Wizel
Dyrektor Banku Handlowego w Warszawie.



Bolesław Dobkiewicz
Dyrektor Banku Handlowego w Warszawie.



Stanisław Rogaczewski
Dyrektor Banku Handlowego w Warszawie.

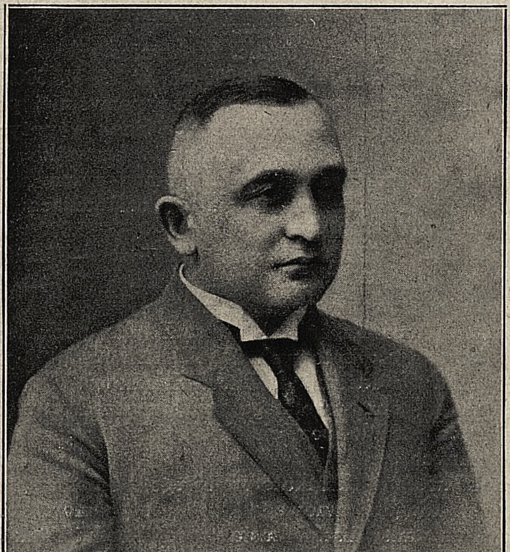
i główną uwagę zwraca na ułatwienie przebycia tego ciężkiego okresu przedsiębiorstwom, związanym długoletnią wspólną pracą, jak to Zakładom Ostrowieckim, Starachowickim, Modrzejowskim, Fabryce Fitzner i Gamper i kilku innym. W tym też czasie, pomimo ciężkich warunków, Bank okazuje pomoc przy organizacji nowych przedsiębiorstw przemysłowych, niezbędnych w warunkach niepodległego bytu Państwa. W tym też okresie wobec silnie zwiększonego tempa obrotu pieniężnego, wzrastają znacznie operacje inkasowe i przekazowe. Wywołuje to konieczność rozszerzenia sieci oddziałów Banku głównie na nowym terenie ziem polskich w Wielkopolsce i na Pomorzu. Prócz szeregu drobniejszych oddziałów w różnych miastach dawnej Kongresówki powstają oddziały w Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Wilnie, Białymstoku, Poznaniu, Toruniu i Bydgoszczy. Jednocześnie chcąc sobie zapewnić wpływ na życie gospodarcze na Kresach Wschodnich i w Małopolsce wschodniej, Bank Handlowy nabywa przeważający portfel akcyj Banku Ziemi Polskiej, który to Bank posiada w tej części Rzeczypospolitej szereg oddziałów własnych.

Rok 1924 rozpoczyna nowy okres działalności Banku. Wprowadzenie nowej zdrowej waluty wywarło wpływ decydujący na cały układ życia gospodarczego kraju. Niestety, nieurodzaj roku ubiegłego i wstrząs gospodarczy, nieodzowny przy gwałtownem przejściu od chorego do zdrowego pieniądza, spowodował, że działalność Banku Handlowego w r. 1924 nie osiągnęła jeszcze tych rezultatów, jakie obecne kierownictwo Banku chciałoby widzieć. Rozwój interesów tej instytucji jest ściśle związany z układem życia gospodarczego kraju, a obroty instytucyj kredytowych są odzwierciedleniem ogólnego stanu ekonomicznego Państwa. Pomimo znanego powszechnie ujemnego stanu rynku pieniężnego, obroty Banku Handlowego we wszystkich działach wykazują stałą acz powolną poprawę. Dojście do stanu z ostatniego okresu przed wojną wymagać będzie jeszcze szeregu lat mozolnej i wytrwałej pracy. Kapitał akcyjny Banku po przewalutowaniu określony został na 10.000.000 złotych, jest to jednak ocena majątku Banku raczej książkowa, bo w rzeczywistości majątek Banku, choćby tylko w części umieszczonej w nieruchomościach, przedstawia wartość znacznie większą. Bank posiada 42 nieruchomości własne w różnych miastach Polski i większość tych gmachów są prawdziwą ozdobą miast w których się znajdują. Świadczą o tem zamieszczone fotografje niektórych z tych gmachów, a siedziba Centrali przy zbiegu Traugutta i Czackiego, której przebudowa ukończona została w styczniu r. b., imponuje nobliwą prostotą fasady i bogatem wewnętrznem urządzeniem na wzór największych banków zagranicznych.

Na czele Banku Handlowego od 38 lat stoi, jako prezes Rady Nadzorczej, Leopold bar. Kronenberg. W skład Rady wchodzą wybitni i powszechnie znani działacze w życiu gospodarczem Polski. Stanowiska wiceprezesów piastują: pp. Antoni Wieniawski i Stanisław Śliwiński. Poza tem Radę Banku stanowią: pp. Piotr Drzewiecki, Henryk Kolberg, Henryk Konic, Leopold Jan bar. Kronenberg, Jerzy Kowalewski, Jerzy Meyer, Kazimierz Natanson, Kazimierz Olszowski, Ludwik Pannenko, Tadeusz Popowski, Gustaw bar. Taube, Kazimierz Wasilewski, Edward Werner i jako przedstawiciele zaprzyjaźnionych banków zagranicznych pp. hr. de Chevilly, Maurycy Despret i William Thys.

Naczelnym Dyrektorem Banku od r. 1920 jest p. Henryk Szampanier, długoletni Naczelny Dyrektor Oddziału w Petersburgu. Poza tem w skład Dyrekcji wchodzą: pp. Maksymiljan Wizel, Stanisław Rogaczewski, Bolesław Dobkiewicz i Jerzy Ścigalski. Sekretarzem generalnym Banku jest p. Józef bar. Dangel.

Bank po dokonaniu znacznych redukcyj po okresie inflacyjnym zatrudnia jeszcze 1250 pracowników i jest niewątpliwie najstarszą i największą po Banku Polskim instytucją kredytową, opartą na kapitale prywatnym.



Jerzy Ścigalski
Dyrektor Banku Handlowego w Warszawie.

PAŃSTWOWY BANK ROLNY

Po ostatecznem uchwaleniu Reformy Rolnej przez Sejm Polski, zwracamy uwagę na Państwowy Bank Rolny z którego akcją parcelacyjno-osadniczą ściśle łączymy problemat ułatwienia przeprowadzenia Reformy Rolnej.

Powołany do życia, dekretem Naczelnika Państwa z dn. 19.II 1919 r. Państwowy Bank Rolny nie rozpoczął odrazu swych czynności, a to z tego powodu, iż będąc pomyślanym jako instytucja finansująca i przeprowadzająca reformę rolną, wobec jej niewykonywania, działalności rozwinąć nie mógł. Działalność tę Państwowy Bank Rolny rozpoczął dopiero w roku 1921-ym, na podstawie Ustawy z dnia 10 czerwca 1921 r., która zeń stworzyła instytucję krótkoterminowego kredytu rolniczego. Z przyczyn powszechnie znanych nie mógł Bank jednak rozwinąć szerszej akcji kredytowej, skutkiem czego wartość jego pożyczek za rok 1922 wyniosła około 4.500.000 zł., w roku zaś 1923 — 3.800.000 zł.

Charakter Banku uległ zasadniczej zmianie na podstawie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 14 maja 1924 roku, które wykreśliło mu trzy kierunki działalności: 1) organizacja kredytu dla drobnej i średniej własności, 2) parcelacja, 3) administracja funduszami państwowemi, przeznaczonemi na cele rolnicze i agrarne.

Udzielane kredyty rozprowadzane są za pośrednictwem Centralnej Kasy Spółdzielni Rolniczych i Unji Związków Spółdzielczych oraz Powiatowych Kas Oszczędności. Nadto celem uzupełnienia sieci lokalnych instytucyj kredytowych i równomiernego nasycenia wsi kredytem, Bank przystąpił do organizowania i finansowania Gminnych Kas Oszczędnościowo-Pożyczkowych, tam wszędzie, gdzie mają one widoki rozwoju i nie przeciwdziałają rozwojowi Spółdzielni Kredytowych. W związku z rozszerzeniem swej działalności Bank przystąpił do stworzenia w lipcu r. b. Oddziałów w Wilnie i Poznaniu. Powołanie do życia filij we Lwowie i Łucku oraz agentur w Grodnie i Brześciu nad Bugiem zamierzone jest w drugiej połowie roku bieżącego. Prócz tego Bank rozrzuci po całym kraju sieć zastępstw.

Zeszłoroczne krótkoterminowe kredyty dla średniej i drobnej własności rolnej przedstawiają się znacznie pokaźniej, niż za lata poprzednie, bo wyniosły 16.800.000 złotych (w roku 1922-im — 4,500.000 zł., w 1923 3,800.000 zł.). Rok bieżący przedstawia się jeszcze pomyślniej pod tym względem, gdyż do dnia 1-go czerwca Bank wypożyczył już około 24.500.000 złotych. O ile chodzi o wszystkie kredyty, wydane przez Bank razem z pożyczkami z funduszów administrowanych, to przedstawiają się następująco: w roku 1920-ym — 12.730.000 zł., w 1921-ym — 7.075.000 zł., w roku 1922-im — 6.572.000 zł., w roku 1923-im — 5.554.000 zł., w roku 1924-ym — 23.450.000 zł., w roku 1925-ym do dnia 1-go czerwca przeszło 41 miljonów.

Obecnie działalność kredytowa Banku, poza kredytami dla Spółdzielni Kredytowych i Kas Komunalnych obejmuje finansowanie Spółdzielni Rolniczo-Handlowych i Wytwórczych, jak również wszelkiego rodzaju przedsięwzięć przyczyniających się do rozwoju drobnych i średnich gospodarstw rolnych.

Obok kredytu krótkoterminowego doniosłem jest zagadnienie długoterminowego kredytu amortyzacyjnego, opartego na emisji listów zastawnych. Kredytu takiego domaga się mniejsza własność rolna, przedewszystkiem na spłatę sched spadkowych, uciążliwych długów, na meljoracje oraz wszelkiego rodzaju trwałe nakłady gospodarcze. Realizacja jednak i uruchomienie tego kredytu nastąpi dopiero po zapewnieniu lokaty dla listów zastawnych, albowiem drobny rolnik powinien otrzymywać pożyczki w gotowiźnie, uzyskanej ze spieniężenia przez Bank Listów Zastawnych.

Listy zastawne Państwowego Banku Rolnego będą oprocentowane na 8% rocznie i umarzalne w przeciągu lat 31. Listy te korzystać będą z przywileju przyjmowania ich przez Skarb na spłatę podatku majątkowego po kursie 80 za 100 do sumy 43 miljonów 750 tysięcy, który to przywilej odgrywa doniosłą rolę w związku z finansowaniem akcji parcelacyjnej. Bank nadto ułatwiać będzie spieniężanie listów, biorąc je w komisową sprzedaż i udzielając przytem zaliczek gotówkowych.

Na zakończenie działalności kredytowej Banku należy wspomnieć o sprzedaży przezeń na kredyt nawozów sztucznych, z wytwórni w Chorzowie i Kałuszu oraz z fabryk nawozów fosforowych a mianowicie: azotniaku, saletry chilijskiej, kainitu, potasu i superfosfatu.

Kółka Rolnicze nabywać mogą nawozy w drodze złożenia w Banku zbiorowych skryptów dłużnych o solidarnej odpowiedzialności, płatnych po upływie 9 miesięcy, na tych samych warunkach co przy zwykłych pożyczkach z solidarną odpowiedzialnością.

W drugiej połowie r. b. w porozumieniu ze Spółdzielniami Rolniczo-Handlowemi Państwowy Bank Rolny przystąpi do kredytowej akcji nawozowej na szeroką skalę, dążąc do uzyskania charakteru Centrali, zaopatrującej w nawozy sztuczne spółdzielnie.

Drugiem zadaniem Państwowego Banku Rolnego jest prowadzenie akcji parcelacyjnej bądź w drodze nabywania na własny rachunek majątków ziemskich i następnego ich parcelowania, bądź też w drodze finansowania prywatnej parcelacji lub ułatwiania zbytu majątków ziemskich. W tym ostatnim wypadku Bank bierze zgłoszone majątki w sprzedaż komisową. Zaznaczyć należy, iż osią działalności Banku w zakresie parcelacji będzie jej sfinansowanie przy pomocy listów zastawnych. Opierając się bowiem na praktyce b. Banku Włościańskiego, Bank Rolny jest świadom niebezpieczeństwa, jakiem grozi nagromadzenie w drodze kupna majątków na własny rachunek wielkiego zapasu ziemi. O żywotności niedawno rozpoczętej akcji parcelacyjnej świadczą cyfry: do ostatniej chwili zgłoszonych zostało 176 majątków ziemskich o ogólnym obszarze przeszło 230 tysięcy hektarów. Do tej pory Bank nabył na własny rachunek 15 majątków o obszarze około 15 tysięcy hektarów, za sumę przeszło 5.015.582 zł., a nadto przyjął do komisowej sprzedaży 9 majątków o obszarze sięgającym 2,455 hektarów.

Ostatnim wreszcie zakresem czynności Państwowego Banku Rolnego jest administrowanie funduszami państwowemi, przeznaczonemi na odbudowę, osadnictwo wojskowe i cywilne, akcję meljoracyjną i t. p.

Tutaj zadanie Państwowego Banku Rolnego ogranicza się do sprawnego rozprowadzania powierzonych mu kapitałów, jak również do prowadzenia ich ewidencji. Ostatnio przystąpił Bank do waloryzowania udzielonych ze wspomnianych funduszów pożyczek markowych w latach 1922 i 1923-im. Nadmienić należy, że działalność Banku obejmuje wreszcie likwidację wierzytelności b. Banku Włościańskiego i Szlacheckiego. Wierzytelności Banku Włościańskiego wynoszą po zwaloryzowaniu 103 miljony złotych, które będą przez Bank ściągane w ratach półrocznych i przelewane do Skarbu Państwa. Dotychczas dokonano przerachowań waloryzacyjnych na sumę około 10 miljonów złotych.

Z chwilą uregulowania kwestji lokaty listów zastawnych Bank przystąpi do uruchomienia kredytu meljoracyjnego, administrując przytem rządowym funduszem meljoracyjnym.

Nowo opracowany i zatwierdzony rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 20 czerwca b. r. statut Państwowego Banku Rolnego otwiera bardzo szerokie pole działania Bankowi w kwestji ujęcia i sprowadzenia na właściwe tory całego ruchu parcelacyjno-osadniczego. Emitując własne listy zastawne, Bank niewątpliwie potrafi zaangażować szereg kapitałów krajowych i zagranicznych, które przyśpieszą tempo jego dotychczasowej pracy.

FUZJA BANKÓW POLSKICH

Bank dla Handlu i Przemysłu w Warszawie łączy się z Warszawskim Bankiem Zjednoczonym.

Dzięki inicjatywie i energji p. posła Wojciecha Korfantego, prezesa Komitetu Wykonawczego i przy współudziale Janusza ks. Radziwiłła, prezesa Rady Banku dla Handlu i Przemysłu w Warszawie, przeprowadzoną została fuzja tych dwóch Banków, która dla interesów gospodarczych naszego kraju mieć będzie poważne znaczenie.

Żyjemy pod znakiem koncentracji. Prąd, który na Zachodzie skupił w niewielu wielkich instytucjach finansowych prawie całokształt aparatu bankowego kraju, musi i u nas znaleźć swój wyraz, gdyż skupienie wysiłków narzucone jest koniecznością gospodarczą, zmuszającą do koncentrowania rozporządzalnych środków materjalnych i sił fachowych.

Od dłuższego już czasu Warszawski Bank Zjednoczony oraz Bank dla Handlu i Przemysłu w Warszawie prowadziły pertraktacje z wielkiemi instytucjami finansowemi zagranicznemi celem wytworzenia szerszych podstaw pracy. Równoległość tych usiłowań musiała z konieczności doprowadzić do akcji solidarnej, gdyż i ze strony czynników zagranicznych wskazywano na tę okoliczność, iż obydwa te banki, rozwijając swą działalność na tym samym terenie, wzajemnie swoje wysiłki paraliżują.

W ten sposób obok konieczności gospodarczych, prowadzących niechybnie do koncentracji, na zrzeszenie tych dwóch instytucji wpłynęły również czynniki zagraniczne, zainteresowane w polskiem życiu gospodarczem.

W tych warunkach połączenie się Banku dla Handlu i Przemysłu w Warszawie z Warszawskim Bankiem Zjednoczonym stanęło na porządku dziennym i w tych dniach zostało zawarte porozumienie, mocą którego oba te Banki zostają zjednoczone w jedną instytucję.

Nie ulega wątpliwości, że fuzja tych Banków, posiadających szerokie rozgałęzienia zarówno w kraju, jak i za granicą, da niezmiernie korzystne wyniki w postaci wydatniejszej i bardziej celowo zorganizowanej pomocy finansowej dla handlu i przemysłu krajowego, a w szczególności dla przedsiębiorstw, odpowiadających warunkom, wymaganym przez zagraniczne instytucje, które ze zjednoczonym bankiem na terenie Polski mają współpracować.

Dla życia gospodarczego naszego kraju stworzenie nowych i szerszych podstaw dla rozwoju Banku, posiadającego rozległą sieć oddziałów w kraju i za granicą, ma wybitne znaczenie.

Ześrodkowanie najwybitniejszych sił fachowych obu zfuzjonowanych Banków pozwoli nowopowstałej instytucji odegrać poważną rolę w pracy nad rozbudową gospodarczą Polski.

LOTY SOKOŁA POLSKIEGO

(Dalszy ciąg ze str. 6)

powołuję do świadczeń wojennych i oddaję do dyspozycji Dowódcy miasta gen. Zawadzkiego".

„2) Członkowie tej Straży mają być uważani za osoby wojskowe, do których stosuję wszystkie ustawy i przepisy wojskowe".

Przypomniećby też należało, że w 1920 r. członkowie Straży Obywatelskiej zobowiązali się nie porzucać Warszawy, gdyby nawet ostatecznie wróg sforsował wejście do stolicy, że byli gotowi zginąć od kuli lub na stryczku. Do ostateczności tej nie doszło, ale też nikt nam gotowości naszej zaprzeczyć nie może i tylko powołać się możemy na zaszczytną wzmiankę w rozkazie wojskowym generała Latinika.

„Wojskowość i stolica nigdy nie doceni tych zasług, które położyła Straż Obywatelska na terenie gubernatorstwa, dając możność wysłania na front oddziałów etapowych i wartowniczych, a głównie dając przykład wysokiego poświęcenia i sprawności służbowej, świecąc przykładem patrjotyzmu i podkreślając wybitnie, że w chwili niebezpieczeństwa — Polska, jak jeden mąż, broni swych praw i niepodległości."

A tę Straż Obywatelską stworzył Sokół i gdyby cała jego działalność na tem się skończyła, w dziejach ruchu społecznego naszej Ojczyzny należy mu się karta chwalebna.

Teka.

DZIECI SYBERYJSKIE W WEJHEROWIE

(Dalszy ciąg ze str. 14)

Naraz gwizdek i, jak nożem uciął, zalega martwa cisza... Drużyny jakby skamieniały. Czyjś głos odlicza: trzy, cztery... i zgodnym chórem brzmią dwie zwrotki „Roty". (Na Pomorzu ma ta pieśń szczególne znaczenie). Rośnie poważny nastrój, coś uroczystego, majestatycznego unosi się w powietrzu. Ostatnie „tak nam dopomóż Bóg" urywa się. Skupiona w sobie cisza trwa kilkanaście sekund, podczas której dyżurny przy sztandarze harcerz odwiązuje przy maszcie sznur sztandaru i staje w oczekiwaniu na komendę... Padają uroczyste słowa: „Sztandarowi cześć". Wszyscy jednym ruchem podnoszą prawe ramię i 2 palce ku górze jakby do przysięgi w kierunku sztandaru, powoli opuszczającego się ze szczytu masztu ku ziemi, płótno łopocze, zwija się i opada na ręce dyżurnego harcerza, który zwinnym ruchem odwiązuje sztandar od sznura i składa go w ustalony sposób. Komenda „spocznij" i ramiona znowu jednym zgodnym ruchem opuszczają się, prawe stopy lekko wykraczają...

Przyboczny hufcowego rzuca dobranoc i kilkaset głosów odpowiada mu jak jeden olbrzymi głos „dobranoc"... Słychać tu i owdzie okrzyki drużyn „czuwaj" i następnie powtarzane przez drużynowych komendy „Rozejść się"... Przed chwilą w twarde kolumny zwarta masa rozpada się w zgiełkliwy tłum wesoło rozbiegających się do pawilonów dzieci.

Codziennie rano odbywa się podobny ceremonjał podnoszenia Chorągwi Narodowej, podczas którego zebrana również w karne drużyny dziatwa Zakładu uroczyście oddaje „Sztandarowi cześć".

Przypomina to im codzień o tem, że są obywatelami Rzeczypospolitej, wobec której mają obowiązki, że świętym symbolem tej Rzeczypospolitej jest ta Chorągiew — Biało-czerwony Sztandar, którego bronić powinni być zawsze gotowi „do krwi ostatniej kropli z żył".

Ten zwyczaj stosujemy w Zakładzie od roku 1924-go. Jest on jednym z wielu czynników, mających na celu wychowanie patrjotyzmu u dzieci. Jak kropla wody, spadając miarowo, potrafi nawet kamień wyżłobić, tak codzienne przeżywanie uroczystej chwili, oddawanie hołdu Rzeczypospolitej, potrafi w sercach dzieci i młodzieży zbudować głębokie uczucie należnej Narodowemu Sztandarowi czci i wyżłobi w duszy przyszłego człowieka-obywatela zrozumiały i konieczny entuzjazm dla Sztandaru. Każdy Niepodległy Naród widzi w swoim sztandarze najświętszy symbol Ojczyzny i o honor tego symbolu dbają wszyscy: Rząd, Społeczeństwo i każdy poszczególny obywatel. Nawet materjalny wizerunek tego sztandaru posiada wyjątkowe prawa i przywileje. Nie wolno sztandaru rzucać o ziemię, nawet zupełnie zużyty sztandar nie może być zniszczony, tylko w odpowiedniej asyście spalony i t. d. Nikomu nie wolno nie tylko choćby w najmniejszy sposób ubliżyć sztandarowi, ale nie wolno go w żaden sposób lekceważyć ani swoim, ani nawet obcym. Tak pojmują swój stosunek do sztandaru obywatele Anglji, Ameryki, zresztą obywatele każdego państwa.

Stany Zjednoczone, troszcząc się o jak największe poważanie i umiłowanie dla swego gwiaździstego sztandaru, korzystają z tysięcy sposobności, aby ten sztandar do góry wznieść i należny mu hołd w odpowiedni sposób uroczyście oddać. Każda szkoła rozpoczyna i kończy swoje zajęcia oddawaniem czci sztandarowi i śpiewem hymnu narodowego, wszelkie obchody, uroczystości, a nawet nieraz zwyczajne mityngi i zabawy odbywają się w obecności gwiaździstego sztandaru, który nigdy nie zapomną uczcić, czy to przez odśpiewanie hymnu, czy to w jakiś inny sposób. Umiejętnie rozbudzają przez to najlepsze uczucia hołdu dla swego sztandaru nie tylko u swoich, ale i u obcych, których w ten sposób jak i wielu innemi zresztą — amerykanizują skutecznie.

Ten zwyczaj ma wszelkie racje istnienia i u nas, dlatego też drugi rok stosujemy go z powodzeniem w naszym Zakładzie Wychowawczym Dzieci Syberyjskich w Wejherowie.

Dr. Józef Jakóbkiewicz.

AKADEMICY POLSCY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

(Dalszy ciąg ze str. 18)

Od pewnego czasu Polskie Koło Akademickie w Stanach Zjednoczonych coraz liczniej otrzymuje z kraju listy z zapytaniami o warunki studjów w Ameryce i warunki przyjazdu. Pragnąc możliwie jak najskuteczniej spełnić swe zadanie w tym kierunku, Koło wydało w ostatnim czasie broszurkę informacyjną o studjach w Stanach Zjednoczonych, która zawiera możliwie wyczerpujące dane o wszystkiem co może interesować studenta polskiego, wybierającego się do Stanów.[1])

Jest bowiem naszem najwyższem pragnieniem, aby jak najwięcej studentów z Polski przybyć mogło na uzupełnienie studjów do Stanów Zjednoczonych. Im więcej nas będzie podobnych sobie pod względem sposobu myślenia i pod względem nabytych metod praktycznej pracy, tem lepsze rezultaty osiągnie każdy z nas. Myliłby się jednak każdy, ktoby tu przyjeżdżać chciał po dolary, rzekomo leżące w Ameryce na ulicy. Przeciwnie, owych niewyzyskanych bogactw jest chyba w Polsce więcej znacznie, niż w Ameryce, gdzie wyzyskane zostało już niemal wszystko, o czem przedsiębiorczy umysł ludzki zdolen był pomyśleć. Do Ameryki warto się tylko wybrać po ów szczególny rodzaj okularów, które pozwolą ujrzeć niewidzialne gołemi oczami bogactwa rodzime i lepiej ocenić wartość czasu, potrzebnego na ich wyzyskanie.

Okres pobytu na studjach w Ameryce jest dla nas jeszcze okresem siewu. Plony z niego zbierać będziemy dopiero w kraju. A będą one dla nas tem cenniejsze, że, jak mocno wierzymy, przyczynią się one może do dalszego postępu Polski na drodze ku jej świetnej przyszłości.

[1]) Treść tej broszurki podamy w następnym numerze. (Przyp. Red).

PROROK Z PUSZCZY

Z FILMOPISU CZŁOWIEKA NIEZNANEGO

M. H. SZPYRKÓWNA

(Marek Odrowąż, zawiedziony w sposób nagły i okrutny w idylicznej miłości przez aktorkę filmową, piękną miss Lianę, rzuca się z mostu do Wisły. Nie sądzono mu jednak zginąć: trafia na moment, gdy pod mostem przepływa motorówka. Ma tylko mętne wrażenie, że go gdzieś wiozą i traci przytomność, aby odzyskać ją w absolutnie samotnej leśniczówce w głębi puszczy. Tam Odrowąż przechodzi fazę zmagania się z sobą, aż poznaje swego zbawcę w właścicielu leśniczówki profesora Niezłoma, z którym razem opuszcza ustronie dla nieznanych jeszcze dalszych zdarzeń).

Przedzierając się powoli i z mozołem przez powikłane gąszcze, Marek usiłował nie utracić z oczu wysokiej postaci w płótnie przed sobą. Podziwiał sprawność, z jaką stary ptasznik przekraczał wykroty, podsadzał się pod przeguby pni i zwyciężał inne przeszkody wąziutkiej ścieżki. Wspomagał się jedynie owym apostolskim kijem. Co czas jakiś oglądał się na Marka i kiwał mu w sposób, zalecający wytrwanie. Odrazu ze swojej polanki skręcili zupełnie w inną stronę, ciemną puszczę, bynajmniej nie przez znany już Markowi parów. Spuszczali się w dół i coraz bardziej w dół. Las był podszyty gęsto mchem i zaczynało zawiewać wilgocią. Szli dobre dwie godziny.

Spostrzegłszy, że opiekun na przedzie złożył kij z tobołkiem na mchu i usiadł, Marek zwolnił kroku. Czuł się nieco słaby i zadyszał się. Doktór (tak stało na adresach dzienników, jakie znalazł w leśniczówce — Mr. le docteur de Niezlom, Herr Doctor von Niezlom, i: doktor Niezłom, zarząd puszcz Turowieckich — po polsku) poklepał go po ramieniu i posadził przy sobie na mchu. Sam ulokował się na zwalonej sośnie. Kilka innych sztuk drzewa wskazywało, że zaglądają tu już ludzie.

— A tak: obok, bardzo blisko, przechodzi poręba. Udało mi się ocalić tylko leśniczówkę, bo tam trzeba znać chytrą dróżkę przez mokradła, właśnie kędyśmy szli. Na to mało jest amatorów, nawet wśród zwierząt. Spójrz pan na spodnie. Płakać się chce! Trzeba było słuchać się starszych i wdziać płótnianki, zawinąwszy je za kolana, ot tak!

Marek wzrokiem krytycznym przyjrzał się własnym kończynom. Jakżeżby zresztą miały wyglądać po przedziwnej podróży, skaczącej z kępki na kępkę wśród mokradeł, przez trzęsawiska i senne zatonie puszczy! Szczególna, ostra woń niewidzianych nigdy ziół rozszerzała jeszcze piersi. „Ta trawa, której nikt nie kosi, ta woda, której nikt nie pije — — kwiaty, nikomu niepachnące..." Przypomniał mu się poeta górskich ostępów, Tetmajer. Tu było właśnie tak. Szli obecnie brzegiem nisko rozlanej leśnej wody, porośniętej po brzegach łoziną i wiklinami i tylko środkiem strumienił się, łuszcząc jej nieruchomość drobnem drżeniem, nurt.

Przewodnik Marka wskazał na przeciwną stronę leśnej zatoni.

— Teraz trzeba zebrać na odwagę. Czeka nas przeprawa wbród na tamtą stronę, do motorówki!

— Do motorówki!... Fantastyczne słowa, jak na te okolice i okolicz...

— Ności. To znaczy... — Chodzisz pan, doktorze herbu Łazęga, jak dziad po prośbie w płótnie i chodakach z łyka, a opowiadasz o motorówce! Ale jest, jest. Stoi biedactwo po przeciwnej stronie, bo tu za płytko, zagrzebana pod wiklinami i czeka czy pan wie, panie mechaniku, gdzie się pan znajduje geograficznie? Maluczko, a dotrzemy do kanału Augustowskiego, a tam już motorówka płynie sobie, jak król! Tu, na tej sośnie jest ostatni przystanek dzikiej puszczy, puszczy przez wielkie P. Odpoczął pan trochę? To wstańmy i w drogę. Ale przedtem proszę przejść trochę tu, o tu. Jeszcze słońce nie zaszło. Proszę spojrzeć tu — ostatni raz!

Marek spojrzał we wskazanym kierunku — i znieruchomiał. Stał w dole. Daleko przed nim, wrzynając się w czarną głąb puszczy, leciał w górę wąski przesmyk, wyżłobiony przez strumień, który gdzieś stamtąd, z wysokiej puszczy, wyszemrał sobie drogę aż dotąd. Widać było, jak na tej drodze z wyżyn spada dwoma przystankami z niemal prostopadłego usypiska raz — niedaleko mszystej niziny, drugi raz — an początku swego widzialnego biegu, w najdalszym punkcie, nad którym właśnie stanęło wielkie, czerwone słońce. W to słońce, stojące nakształt olbrzymiej monstrancji na wyniosłym ołtarzu puszczy, między dwiema czarnemi ścianami drzew, Marek się zapatrzył hipnotycznie nieoderwanym, zachłannym wzrokiem. Na czerwonem jego tle wysoko stał z rozpostartemi ekstatycznie ramionami wielki czarny, daleki krzyż.

— Krzyż z parowu!... — wymówił wolno, z głębokim podziwem. Dopiero teraz spostrzegł, że stoi z obnażoną głową, trzymając kapelusz w ręce. — Posąg pielgrzyma! Czyż to możliwe? Tu?

— Możliwe. Doskonale go pan nazwał: Posąg pielgrzyma. Takem właśnie myślał, kiedy — — Możliwe, bośmy od leśniczówki bynajmniej daleko nie odeszli, tylko ścieżka jest bardzo okrężna: inaczej mokradła nie dadzą przejść. To jest cała wada i zaleta tej drogi. Puszcza się coraz obniża,

i parów, który w stosunku do leśniczówki jest nisko, stąd jest jeszcze nieomal górą. Gdybyśmy mogli wprost z parowu zjechać na strumieniu jak rusałki w dół, bylibyśmy tu w przeciągu kilku minut.

— Nie byłbym nigdy przypuścił. Ale któż dźwignął ten posąg i... wszystko? W jaki sposób?

Stary człowiek ze zmrużonemi, uśmiechniętemi oczyma patrzył wprost w dalekie, przeżegnane przez krzyż słońce.

— Kto? Pewno najwięcej — czas! Trudno było — znaleźć drogę. To mi się udało. Potem trzeba było iść tą drogą — to właśnie czynię. Ale czy zdołam dokazać najtrudniejszego? Bóg wie!

— Co jest — najtrudniejsze...? — Marek bystro wpatrzył się w starą, piękną twarz. — Znaleźć drogę — — iść drogą — — czy to przenośnia?

— To — przenośnia. A najtrudniejszem jest rzecz ostatnia: udostępnić tę znalezioną i z niezmiernym trudem cal po calu przetrzebioną w dziczy ducha ludzkiego drogę oddać do użytku innych. Udostępnić ludzkości zdobycz życia. Kiedyś, jak pan dziś, wyszedłem oto z tej leśniczówki — a nie wyszedłem wcześniej, aż przetrawiwszy swój ból, żal i gorycz, wyniesioną od ludzi, postanowiłem do tychże ludzi wrócić i dla tychże ludzi pracować aż do ostatka. Nie spędziłem tam trzech dni, jak pan; spędziłem lata! Co jest zrobione w drzewie i kamieniu, zrobiłem sam; co jest zdziałane wśród ptaków i zwierząt, zdziałałem sam; chciałem być dobrym prorokiem dla tej młodszej braci, nie tym, który zabija! Czy możesz pan pojąć, panie z miasta, ile jest radości w sercu człowieka, kiedy wyjdzie do puszczy, a maleńkie makolągwy siadają mu na ramionach same?... Czy wiesz pan — —

Starzec skinął ręką i zamilkł. Jakieś wielkie uniesienie, jakaś radość najwewnętrzniejsza i rzewność, i duma — wszystko było w tem niedokończonem skinieniu. Marek chwycił tę rękę i mocno, błagalnie ścisnął w obu swoich.

— Niech pan powie... niech pan mówi!... To nic, że wracam z miasta, to nic, że chciałem — — że pan — — Kocham te rzeczy, czuję te rzeczy, tęskniłem zawsze do kogoś, ktoby — — Czy wiem? — — O tych makolągwach! — — Czy wiem co?...

Doktór Niezłom spojrzał w młodzieńcze, błagalne oczy niedobójcy i uśmiechnął się.

— Nie o makolągwach! Ptaki kocham i ratuję jak mogę, ale bo też są najbliżsi człowiekowi poziomem zrozumienia. Panby — niktby zresztą! — nie uwierzył, co mogę teraz, po latach nauki w puszczy, wyrozumieć z mowy ptaszęcej i co one z mojej wyrozumieć są zdolne. Wyda się to naszej dzisiejszej nauce równie nieszkodliwą bzdurą jak wczorajszej nauce wydawały się powieści Wernego, a przedwiekowej — kopernikowskie ziemiokręty!

— Są jednak pewne niewzruszone prawa...—zaczął pedagogicznie Marek — i urwał. Przypomniał sobie „niewzruszone prawa" o niepodzielności pierwiastków i przebieg wzruszeń, podobnych do podziemnych wstrząsów, które tę niewzruszoność podminowały ostatniemi badaniami fizyko - chemicznych dociekań.

Chrząknął i poprawił się na mchu. Czuł na sobie dobrotliwe pobłażające spojrzenie doktora.

— Nie śmiałbym twierdzić, że ich niema! Ale czy są nam znane?... Pytanie! Są to rzeczy wielkie — zbyt wielkie w stosunku do... makolągwy. Owszem; opowiem panu kiedyś to, co miałem na myśli: coś o motylu. Z zawodu byłem tylko rzeźbiarzem. W kraju nie pracowałem, tak się złożyły okoliczności. Ale Paryż ma jeden pomnik mojej roboty, zakupiony przez wystawę — „Kain i Abel".

Nagła, olśniewająca błyskawica przeszyła świadomość Marka. Ta twarz, twarz Mojżesza i Starca z gór! Te niezapomniane pyszne oczy, oczy królewskiej mądrości i uśmiech dobrego pszczelarza z zacisza kwietnej pasieki! Kain i Abel! Wspaniała apoteoza ducha w Ablu, wstrząsająca dzikość zwierzęcia w Kainie, odwieczna walka pierwiastków! Pamiętał entuzjastyczne okrzyki na ulicach Warszawy na cześć artysty, który tędy wracał czy przejeżdżał — wielkie nagłówki artykułów i plakatów, triumfalny pochód— był wtedy mały. Potem spotkał się nieraz z nazwiskiem rodaka-cudzoziemca — słyszał o jego kolosalnej fortunie — o niesłychanych dziwactwach— zdziczeniu — czy dramacie — — zdawało mu się, że skończył życie w sposób dramatyczny, zabity czy też jako samobójca. I oto tu w głuchej puszczy — — A on, niedoszły poeta, wynalazca bez matury!... on już z tego jednego pielgrzyma, który szlochał kamiennym szlochem jakiegoś wielkiego, genjalnego bólu — nie poznał jednak, że twórcą mógł być tylko Ktoś — ktoś przez wielkie, przez największe K!

Niezmierne wzruszenie ścisnęło gardło Marka. On się targnął na swoje życie, on! Zaczynający zaledwie walkę jeden z tysiąca, szare nic, które czerwoną pręgę bólu na swej szarzyźnie uważa za płomienny miecz archanioła, przecinający oś wszechświata! A cóż przejść musiał taki oto człowiek, genjalny artysta współczesności, znany na obu półkulach, który stał już u szczytu sławy, fortuny, miłości — — bo wiedział i o tem — — a oto ręka losu wyszarpnęła go z wieńca chwały i rzuciła w skamieniałym szlochu pod krzyż?...

Uniósł się na klęczki i odruchem czci, miłości, współczucia przycisnął czoło do kolan starca, odzianych w zgrzebne płótno. Ogromna rzewność wielka ulga, dziwna otucha spływały weń skądś z wysoka. Oto nie jest sam! Oto starszy brat jego, człowiek, cierpiał jak on i więcej, a jednak wstał i wykrzesał sobie z własnego boku ogień, aby rozpalić zagasłe życie. Oto jest pod mocnem ramie-

niem, które go dźwignie i przed którem ukorzyć się nie jest wstyd.

Na włosach swych uczuł łagodną rękę. Podniósł oczy i wprost nad sobą ujrzał zamyślone, mądre i pełne wewnętrznego światła źrenice, które mu patrzyły w duszę. Bezwiednie podniósł się z ziemi. Chwilę stali oboje. Słońce zaszło i tylko sam krzyż czerniał an ciemnym błękicie.

— Jeżeli teraz, odchodząc, spojrzysz na krzyż, pod którym leżałeś z buntem i bólem — — jak sobie powiesz? Jak sobie teraz powiesz?...

Prawie nie wiedząc, co znaczą słowa, Marek jakimś szóstym zmysłem zrozumiał. Podniósł oczy i łamiącym się od wewnętrznej wagi chwili głosem powiedział, jak przysięgę:

— Powiem, że zostawiłem tam trupa, a sam idę żyć. Powiem, że byłem nikczemny, mały robak, który się dusił smoczą pychą, aż go rozsadziła! Powiem, że wbrew bólowi i naopak słabości, będę usiłował dźwignąć się z pod kamienia i spojrzeć życiu twarz w twarz, jakiemkolwiekby było! Bo lepszych ode mnie poniewierało bardziej, a nie uległi. Tak powiem, przysięgam! Będę szukał także swej trudnej drogi, i, na Boga! Znajdę!...

— Znajdziesz. Jesteś z tych, którzy albo giną, albo docierają gdzie chcieli. Zostawiasz tu trupa: to prawda. Możesz liczyć, żeś się narodził po raz drugi. Z prawdziwego chrztu wody, przed czterema dniami, na dachu mojej motorówki. Sądzę, że się nie pomylimy, jeśli powiemy, że tamten młody desperat na moście już nie istnieje więcej. Zajrzyj w siebie! Czy to, co cię pchnęło wtedy z mostu w dół, żyje w tobie jeszcze tą samą rozpaczą, czy to już — tylko widmo?... Oczom, które spojrzały w twarz śmierci, twarze z tej ziemi wydają się blade i żadne, jak wypłowiałe widma! Zajrzyj w siebie! Jeżeli tak jeszcze nie jest — raczej pozostań tutaj! U mnie — i u tych, którzy są ze mną: trzeba mieć duszę, która poznała, co to jest wielki ból, aby go innym oszczędzić! To też, zanim przepalisz wszystko, co jest z żalu, zemsty, ambicji, żółci — raczej nie przychodź! Zatrują treść nowego życia rozkładem dawnego trupa. Powiedziałeś dobrze: trzeba zostawić trupa swego pod krzyżem, aby się mógł dźwignąć duch! Czy zdołasz tu pogrzebać wszystko, co w tobie było rozkładem? Czy — nie?

Marek głęboko, nieznanemi sobie sposobami czujności, słyszał wszystkie mówione do siebie słowa. Jednocześnie inną płaszczyzną myśli, jakgdyby lekarz — zwierciadłem, badał własną duszę. Nieogarnione, wielkie, jak sama śmierć, zdumienie ogarniało go zewsząd, jak fala. Zajrzyj w siebie! Zaglądał oto i widział — widma. Gdzieś niezmiernie daleki, jak niegdyś — w odległościach ciemnej hali, przesunęły się przed nim rzeczy, dzieje, postacie. Zdawało mu się, że widzi nawet dekoratywne papierowe ściany, chwiejące się w przestrzeni na ręku niewidocznych robotników, że słyszy słaby, jakgdyby stłumiony przez oddalenie zgrzyt bloków. Ujrzał niezmiernie wyraźnie w głębi pod ścianą, na stosie belek, człowieka. Młoda, blada, zacięta i piękna twarz, rozchełstany kołnierz robotniczej sinej bluzy, broda wsparta na pięści, umęczone, złe oczy dzikiego ptaka, wbite w daleki punkt. W tym dalekim punkcie, któż to?... Ach, tak!... Męska ręka chwyta w locie rzucone przez pewne najbielsze futro kwiaty. Zapach fiołków od tego futra, od futra — —

Marek rozszerzył nozdrza — i uczuł wyraźnie wilgotną woń wody, szuwarów i nocy na rzece. Usiłował nadarmo uchwycić tamten zapach: rozwodniła go rzeczna toń, utopiła w sobie bez reszty. Położyła się pomiędzy wczoraj a dziś mokrą, ruchomą i nieprzenikniona zasłoną, która przyćmiła różową muszlę, chińskie półcienie, wnętrze dostatniej miłości. Pamiętał dobrze, że miała oczy szafirowe. Ale jakie były, jakieby istotnie były? Już nie wiedział. Zatracił ich specjalny, jedyny ton w ogólnem pojęciu szafiru, nieosobowem jak próbka z chemicznej pralni. To było wszystko.

— Oczom, które spojrzały w twarz śmierci, twarze z tej ziemi wydają się blade, jak wypłowiałe widma — przesunęły mu się znowu zasłyszane przed chwilą słowa. Jak wypłowiałe widma! Właśnie. Oto tak czuł. Wiedział, że były — ale już zatraciły ostrość bólu, radości, starć. Zlały się w jedno ze sztucznemi ścianami, sztucznemi światłami, sztuczną grą. Ach! Czyż wogóle nie było to wszystko, jak mówią małe dzieci, tylko naumyślnie?... A dopiero ten chrzest z wody i narodziny na dachu przypadkowej motorówki—początkiem prawdziwego, właściwego oddawna jemu, Markowi, przeznaczone do życia?...

Spojrzał na starego samotnika. Stał przed nim, oparty na swym apostolskim kiju, wysoki i wspaniały, prawdziwy prorok z puszczy — i patrzył bystro z pod brwi mocnemi, mądremi oczami. Zdawał się czekać na odpowiedź, wyniesioną z głębin tej wędrówki w głąb przeszłych zdarzeń. Marek podniósł powoli powieki. Czuł się dziwnie zmęczony— jak po odbyciu wielkiej, dalekiej podróży. Nie odbył ją, aby zdobyć; tylko — aby się pozbyć. Teraz wiedział, że jest wolny: wracał z przeszłości bez żalu i bez wzruszenia: młody człowiek z mostu nie istniał. Entuzjazm z przed chwili opadł zeń także. Wyciągnął rękę i krótko, po męsku, uścisnąwszy dłoń starca, powiedział poprostu:

— Nie mam w sobie żalu, bólu ani goryczy. Jest mi zupełnie spokojnie. Dziękuję panu. I jeśli mogę się na coś panu w jego pracach przydać, będę szczęśliwy. Jestem wolny, silny i sam.

*

* *

Miss Liana miała także swoje zasady, nikłe ale stałe. Wiedziała, że jedną z rzeczy zasadniczych w życiu kobiety jest — kapelusz. W życiu kobiety,

która jest ponadto — gwiazdą, uważała go za czynnik poprostu decydujący. To też poemat, jaki sobie ułożyła z szaro-niebieskiego niebytu z długim jak zalotne spojrzenie rajskim ogonem z jednej strony był czemś, na czem możnaby już zacząć budować przyszłość! Kosztował sumy zawrotne w tych drogich złotych polskich, podczas kiedy w takim Paryżu możnaby go mieć za darmo, za głupią czwartą część! Nie było jednak sposobu czekać z kapeluszem do Paryża, bo — należało zrobić efektowne wyjście. Jeżeli ojczyzna była sceną, miss Liana schodziła ze sceny. A była już za dobrze lansowana, aby odejść po partacku — byle kiedy, byle jak i byle w czem. Postanowiła wygrać ostatni swój atut: odjechać tak, aby kochanych życzliwców ze wszelkich stron zalała tak słusznie zwana przez mamę z Przasnysza zła krew.

W trakcie tych wyborów gwiazda zamgliła się cośniecoś rozrzewnieniem nad własną niedolą. Była jednak taka nieszczęśliwa! Karjera — figa. Mit dem książę wares kaput. — Nawet, p. k.!... mieszkanie trzeba było w przeciągu miesiąca zlikwidować. Ileż radości dla całej, obryzgiwanej ongiś książęco-gwiezdnym automobilem, hołoty z nizin! Ileż złośliwej dyskrecji u najmilszych! Ileż szpileczek ostrych jak mrówcze żądełka, tnących zewsząd, zawsze i niezmordowanie! Telimena na mrowisku miała przynajmniej — Tadeusza. Telimena była głupia gęś, bo mogła mieć hrabiego, ale mniejsza z tem! Dość, że miała kogoś. A Liana miała tylko nieuregulowane rachunki, piękny kapelusz i — mityczne engagement do mitycznej Ameryki. Podróż za granicę jednak musiała być faktyczna, nie mityczna, i obliczona na zysk. Dla niej to został dużym nakładem zakupiony kapelusz, w którym Liana wyglądała jak anioł, unoszony do nieba na rajskich piórach najlepszego paryskiego modelu. Wkładała do tego kapelusza pewien rodzaj spojrzenia przyćmionego melancholją tak fascynującą, jak naprzykład gwiazda zaranna (albo zresztą wieczorna), ubrana w woalkę z najdroższego gatunku georgetty. Przyjrzała się w troistem lustrze wiele razy z każdego profilu i była, można powiedzieć, zadowolona z obu. Profil, przysłonięty rajskim ogonem, suggestjonował melancholję, ożywioną tylko karminowem serduszkiem ust, złożonych zawsze modelowo na słowo: — „pomme" (tak uczono na pensji w Kaliszu). Profil odsłonięty przez niebyłe nieomal rondko drugiej strony miał w sobie niebywały polot dzięki strzelistości rzęs, podczernionych w sam raz dość dlatego, aby przyćmić zbyt wybitny dorinowski róż na policzku. Całość była nad wyraz udana i właśnie po przestudjowaniu jej dostatecznie, miss Liana dnia pewnego niedzielnego przedpołudnia wybrała się na czekoladę do Loursa, gdzie o tej porze zbierała się paczka leaderów stołecznej prasy.

Przypadkiem, byli. Wdzięku w skinieniu główką, kiedy nią skinąć raczyła, nie odmawiali Lianie nawet najbardziej poszkodowani w jej rachunkach krawcy. Na ten raz raczyła raczyć. Szereg łysych głów, rozłupanych wzorowo półgłówków, uniósł się przed nią, gdy mijała, poczem się zbliżył, zdyskreciał i zaszeptał. Widziała (końcem pióra zapewne), nie oglądając się, że szeptali i była zadowolona. Usiadła opodal, i doczekawszy się aż spotkała dość zresztą kaprawe oko jednego z reporterów, pełzające po sobie z niekłamanem uwielbieniem, uśmiechnęła się najbardziej czarującym i zachęcającym uśmiechem. Oko skoczyło pod monoklem z nadmiaru niespodzianki i za chwilę siedziało przy niej, szczerząc próchno i plomby.

— Nie widać jakoś pani, nie widać — — krzywdzi pani nas biednych —

— Ach, Boże! Kiedy naprawdę nie mam czasu. To poprostu szaleństwo z temi rozmaitemi formalnościami. Takie już mam sińce pod oczami, o takie!...

Ślicznemi paluszkami pokazała, jakie ma sińce. Dziennikarz się rozrzewnił.

— Tak się strasznie męczymy, Boziu, Boziu... Ale czem? Słychać, że nawet Filmona pani nie widuje — —

— Filmona!... — Liana się srebrzyście roześmiała. — Biedacy, to oni jeszcze żyją? W zeszłym miesiącu mieli sobie sprawić dwa Jupitery, bo zdjęcia były na nic, no i dyrektor biedaczek stękał, kwękał i wkońcu prosił nas, czybyśmy się zgodzili rozłożyć pensję na raty, bo nie da sobie rady. Ach! z tym polskim przemysłem filmowym! U nas przynajmniej będę pewną pensji.

— U nas! Co szanowna pani nazywa: u nas?

— Ach! Nic, nic! To było — jak się to nazywa?... Lapsus linguae! Nie, czy to może znaczy co innego? Kiedy ktoś ma tajemnicę i raptem się zdradzi?

— Więc to prawda, pani Liano? Bo już słyszałem — podobno pani opuszcza kraj. — Jakieś engagement — coś. — Trzeba powiedzieć staremu przyjacielowi!

Trupia główka wdzięczyła się wybitnie. Liana zalotnie się śmiała.

— Och! Przyjacielowi!... Tacyście wszyscy!... Zresztą dobrze! Powiem! Tylko z tem, żeby wyłącznie pan — i ani mru-mru!... Boby mnie moi Amerykanie zjedli!

— Więc Amerykanie! Ho-ho!... — Monokl błysnął zazdrośnie i z szacunkiem. Angażmencik na dolarki, co? Pani ma szczęście, pani Liano! Tyle artystek się stara dostać... Zresztą, hm! Gdybym był dyrektorem, tobym pierwszy...

Liana skończyła po kwadransie interwiew, coraz bliższe, cichsze i bardziej przypadające ku jej dekoltowi. Wyszła z gracją dziesiątej muzy, która wstąpiła w drodze z Olimpu do Loursa na parę ciastek, ale się czuje boginią. Wiedziała, czego chciała. Przez dni parę przerzucała niecierpliwie dzienniki. Wreszcie — znalazła. Na jednej z drobno zadrukowanych stron widniał tytuł:

Gwiazdy i Dolary. Dowiadujemy się, że amerykańskie dolary wykupują w Polsce nie tylko zabytki i dzieła sztuki, ale nawet... gwiazdy. Pani Liana del Mari (pseudonim znanej z urody artystki filmowej warszawskiej) została, jak dowiadujemy się, zaangażowana na bardzo wysoką pensję do Ameryki przez jedną z największych firm w Los Angelos. Tragiczne i zagadkowe wypadki, związane ostatnio z nazwiskiem divy, nie tylko widocznie nie wpływają ujemnie na opinję kobiet — że tak powiemy — publicznych—ale przeciwnie, robią im znakomitą reklamę. Wyjazd pani del Mar, ma się odbyć w zupełnej dyskrecji z powodu zatargu artystki z zespołem „Filmony", bojkotującym ją rzekomo za tragiczną śmierć kolegi ś. p. Marka Odr., którego miłość do primadonny pchnęła w objęcia śmierci. W zmarłym przedwcześnie poecie ogół traci niepospolity talent, gdyż z pozostałych rękopisów zarząd „Filmony" przy współudziale ekspertów projektuje sfilmować dramat, który ma być podobno sensacją sezonu i dziełem sztuki o niepospolitej wartości. Dramat, w którym zamieszane jest szeroko znane w kraju książęce nazwisko, jest wyłączną tajemnicą artystki, gdyż jeden z jego uczestników jest pod równikiem, a drugi — na chłodnem dnie Wisły. Czy dolary pani del Mar nigdy nie będą świeciły czerwono?...

Liana przeczytała uważnie, klasnęła w ręce i zamyśliła się. Zaczynało się pysznie. Poczem wyjęła album ze swemi wyłącznie fotografjami i, przejrzawszy, wyjęła jedną. Była stylizowana tam na kobietę-wampira, z rozburzonemi włosami i wampirycznym wzrokiem, zrobionym umyślnie w salon de beauté! Dolepiła na biały arkusz fotografję i wyciętą z gazety wzmiankę, poczem z pachnącego fiołkami pudełka wyjęła blado-lila arkusz listowego papieru i królewskiem pismem calowej wysokości wypisała:

„Panie Redaktorze! Trudno mi szeroko komentować przytoczoną wzmiankę. Ale wiem, że w imię sprawiedliwości zechce pan stanąć w obronie czci kobiety, która tem tylko zawiniła, że nie zabiega o względy pewnego typu dzienników. W tem, co piszą o wyjeździe, jest trochę prawdy; jeszcze nie wiem sama, jeszcze nie postanowiłam! Wypadki ostatnich tygodni są zbyt dla mnie ciężkie, abym o nich mówić mogła. Ale wierzę, że życzliwość, jaką mi pan redaktor zawsze okazywał, podyktuje mu właściwą odpowiedź świstkowi, który załączam. Fotografję dodaję, bo podobno pisma ilustrowane muszą koniecznie mieć wszystko z fotografjami. Piszę bez sensu, ale jestem taka, taka zmęczona! Powiedzieć byłoby łatwiej, ale nie wiem, czy Redaktor ma naprzykład popołudnie nie zajęte?..."

Podpisała bilet, włożyła do koperty i zadzwoniła na służącą. Posunięcie było zrobione i nieby-

(Dalszy ciąg p. na str. 47)

KRONIKA

AMERYKAŃSKO-POLSKIEJ IZBY HANDLOWO-PRZEMYSŁOWEJ W POLSCE ORAZ TOWARZYSTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO.

WYJAZD P. F. W. MORSE'A Z WARSZAWY.

Mury stolicy Polski opuszcza jeden z jej najserdeczniejszych przyjaciół: p. Frank Watrous Morse, który gościł u nas jako reprezentant firmy „Baldwin Locomotive Works", jednej z największych firm światowych, wyrabiającej, już przed wojną, 4 parowozy dziennie.

Przyjechawszy do Polski w najkrytyczniejszym momencie procesu kształtowania się odrodzonej państwowości Polski, w sierpniu 1919-go roku, p. F. W. Morse rozwinął bardzo żywą działalność na korzyść Polski. Firma, którą reprezentował, udzieliła Polsce dziesięcioletniego kredytu w wysokości 7 miljonów dolarów na zakup 150 parowozów. Był to pierwszy długoterminowy kredyt w tym rodzaju, uzyskazany w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Goszcząc w naszym kraju, p. F. W. Morse brał w naszem życiu udział bezpośredni, żywo i serdecznie reagując na wszelkie bolączki i potrzeby Polski i stale służąc radą i współdziałaniem.

Od początku swego pobytu w Warszawie p. F. W. Morse był członkiem Towarzystwa Polsko - Amerykańskiego i Amerykańsko - Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce, gdzie piastował godność wiceprezesa obydwu instytucyj.

We wszystkich zdarzeniach w dziedzinie stosunków polsko - amerykańskich grał on wybitną rolę, wykazując niezwykle intensywne tempo swej działalności.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki p. F. W. Morse cieszy się wielkiem uznaniem, gdyż imię jego związane jest z budową największych transamerykańskich i kanadyjskich linij kolejowych, a podczas wojny pracował on ochotniczo w Komitetach Przemysłowego Zaopatrzenia Armji, gdzie działalność jego wydała niezwykle efektywne rezultaty.

Po przyjeździe do Polski p. F. W. Morse, wraz ze swą małżonką otworzyli gościnne podwoje swego domu dla szerokich sfer społeczeństwa polskiego, gdzie wspólnie omawiano najżywotniejsze kwestje, dotyczące stosunków polsko-amerykańskich i gdzie p. F. W. Morse dał się poznać jako jeden z najszczerszych i najistotniejszych przyjaciół naszego kraju.

Wyjeżdżającemu p. F. W. Morse'owi towarzyszy szczery żal wszystkich znających go Polaków i wdzięczność za usługi dla Państwa Polskiego okazane.



Frank Watrous Morse
Przedstawiciel „Baldwin Locomotive Works" w Filadelfji.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Staraniem Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego odbyła się w dniu 4-go lipca 1925 r., uroczystość obchodu 149 rocznicy niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki, w sali Rady Miejskiej, pięknie udekorowanej sztandarami amerykańskiemi i polskiemi oraz zielenią. Na uroczystość tę zjawili się przedstawiciele rządu oraz municypalności, wśród których zauważyliśmy: p. W. Trąmpczyńskiego, marszałka senatu; ks. arcybiskupa Roppa; generała broni J. Hallera; generała broni Rozwadowskiego; wice-ministra Siennickiego; zastępcę ministra spraw zagranicznych, p. Morawskiego; p. ministra pełnomocnego Grabowskiego; zast. szefa protokółu dyplomatycznego p. Tarnowskiego; p. J. Moldenhawera, zast. komisarza rządu; p. radcę ministerjalnego, Pawlikiewicza (z ramienia prezydjum rady ministrów); generała Suszyńskiego, dowódcę miasta; liczny zastęp przedstawicieli kolonji amerykańskiej w Warszawie; członków Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby handlowo-Przemysłowej w Polsce, z prezesem p. Leopoldem Kotnowskim na czele—oraz wielu innych, których z braku miejsca, niestety wymienić nie możemy. Uroczystą akademję zagaił Kazimierz ks. Lubomirski, prezes Towarzystwa Polsko - Amerykańskiego, kończąc przemówienie okrzykiem na cześć Stanów Zjednoczonych, poczem rozległy się dźwięki hymnu amerykańskiego. Senator Ignacy Baliński w im. ludności m. Warszawy złożył ży-

czenia dla całego narodu amerykańskiego; p. Helena ord. Bispingowa, zwracając się do p. ministrowej Pearsonowej, przemawiała w imieniu kobiet polskich. Dłuższe przemówienie wygłosił p. redaktor Zdzisław Dębicki, prezes Syndykatu Literatów i Dziennikarzy, charakteryzując rolę, jaką główne wytyczne konstytucji amerykańskiej grały w życiu największej demokracji świata. Minister Pełnomocny i Poseł Nadzwyczajny Stanów Zjednoczonych Ameryki w Polsce, dr. Alfred J. Pearson zreasumował wywody poprzednich mówców, podniósł intensywność i skonsolidowanie się obecne stosunków polsko-amerykańskich na polu łączności kulturalnej i gospodarczej, oraz złożył Polsce życzenia pomyślności. Rozległy się dźwięki hymnu państwowego polskiego, poczem K. ks. Lubomirski podziękował obecnym za przybycie na tę tak doniosłą uroczystość.

Po południu tegoż dnia odbyło się przyjęcie w lokalu Poselstwa Stanów Zjednoczonych Ameryki, na którem byli obecni przedstawiciele kolonji amerykańskiej, członkowie Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce.

Ożywione serdeczną uprzejmością p. ministra A. J. Pearsona z małżonką — zebranie upłynęło w bardzo miłym nastroju i zostało uwiecznione wspólną fotografją towarzystwa.

ORDER CYNCYNNATA DLA POLSKI.

W dniu święta Sanów Zjednoczonych w sali konferencyjnej rady wojennej w gmachu ministerstwa spraw wojskowych odbyła się uroczystość wręczenia orderu Cyncynnata Ministrowi Spraw Wojskowych, celem przekazania go, jako uznania, wyrażonego żołnierzowi polskiemu, i złożenia w muzeum wojska w Warszawie.

Na uroczystości byli obecni: przekazujący order Cyncynnata, gen. Józef Haller, gen. Rozwadowski, gen. Malczewski, gen. Suszyński, gen. Kessler, gen. Górecki, gen. Żymierski, gen. Szpakowski, płk. s. g. Pieracki, płk. Gembarzewski i inni.

Wręczając order Cyncynnata, gen. Józef Haller odczytał akt następującej treści:

„Na dorocznem zebraniu towarzystwa Cyncynnata w mieście Richmond dnia 19 października 1923 r. jednomyślnie uchwalono, że towarzystwo Cyncynnata w stanie Virginia, uznając wielkie zasługi generała Tadeusza Kościuszki i jego współtowarzyszy, ofiarowuje dla muzeum wojska w Warszawie orła towarzystwa Cyncynnata, którego Kościuszko był rzeczywistym członkiem, celem umieszczenia w temże muzeum dla upamiętnienia zasług tego wielkiego żołnierza w sprawie o niepodległość Ameryki.

Następnie postanowiono, iż orzeł towarzystwa Cyncynnata powinien być ofiarowany dla muzeum wojska w Warszawie za pośrednictwem gen. Józefa Hallera, naczelnego wodza armji polskiej we Francji w czasie wielkiej wojny, który tak chlubnie spełnił zadanie wielkiego patrjoty.

Z tego powodu Prezydent wyznaczył komitet złożony z trzech członków, a mianowicie: płk. Edward Erskine Hume, z armji Stanów Zjednoczonych i płk. Juljana Wayo Cabell ze Stanów Zjednoczonych dla urzeczywistnienia rezolucji.

Stosując się do tejże rezolucji towarzystwa, orzeł był wręczony gen. Hallerowi w klubie armji i marynarki w Waszyngtonie dnia 9-go grudnia 1923 r. w obecności ministra



Przyjęcie u Posła Stanów Zjednoczonych Ministra Alfreda J. Pearsona, w dniu 4 lipca r. b.



Uroczystość obchodu Dnia Niepodległości, narodowego święta Stanów Zjednoczonych, w dn. 4 lipca w Ratuszu.

polskiego, członków poselstwa polskiego i świty gen. Hallera oraz członków towarzystwa Cyncynnata w stanie Virginia".

Otrzymując order Cyncynnata, minister Sikorski wygłosił dłuższe przemówienie, nawiązujące do bohaterskich tradycyj armji polskiej oraz historycznej przyjaźni polsko-amerykańskiej.

Następnie minister Sikorski, oddając order dyrektorowi muzeum wojska, zauważył, iż przekazuje go dla otoczenia z należną czcią i pieczą.

WYCIECZKI AMERYKAŃSKIE W POLSCE.

Od 13-go do 17-go lipca gościły w Polsce dwie wycieczki amerykańskie. Pierwsza pod przewodnictwem p. J. A. Van Dio, składała się ze studentów, synów najlepszych rodzin amerykańskich, i była podejmowana przez Związek Młodzieży Chrześcijańskiej „Polska Y. M. C. A.". Goście zwiedzali najważniejsze zabytki stolicy, poczem wyjechali do Krakowa.

Druga wycieczka, pod przewodnictwem p. Panunzio, składała się z amerykańskich nauczycieli i działaczy społecznych, w ilości 11 osób, którzy przyjechali specjalnie w celu badania warunków powstawania emigracji w Polsce. W lokalu Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce odbyła się specjalna konferencja dla tejże wycieczki, podczas której rozdano jej specjalne przygotowane materjały i referaty. Po dwudniowym pobycie w Warszawie — wycieczka udała się do Pragi Czeskiej.

Wycieczka składała się z osób następujących: mr. Panunzio, mrs. Panunzio, mrs. Clarke, mrs. Bow, mrs. Yeghenian, mrs. Kamyol, dr. Kamyol, mr. Kamyol, mr. Pyle, mrs. Florence Cassidy.

WYSTAWA W FILADELFJI.

Jak już donosiliśmy w poprzedniej kronice, Polska otrzymała zaproszenie na wzięcie udziału w wielkiej Międzynarodowej Wystawie w Filadelfji, w r. 1926 (od 1-go czerwca do 1-go października). W sprawie tej odbyło się kilka konferencyj wstępnych w Wydziale Prasowym M. S. Z. oraz w lokalu Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-przemysłowej w Polsce. Wybrano wstępny Komitet Organizacyjny, który ustalił ogólne wytyczne dla organizacji udziału Polski w wystawie oraz uchwalił bezpośrednie przystąpienie do prac wstępnych.

Amerykańsko - Polska Izba Handlowo - Przemysłowa w Polsce wystosowała szereg listów do najwybitniejszych działaczy pośród Polonji wychodźczej w Stanach Zjednoczonych Ameryki i otrzymała już kilka odpowiedzi, świadczących, że Wychodztwo Polskie sprawę udziału w Wystawie traktuje bardzo poważnie i ocenia jej rolę w osiągnięciu należnego prestige'u państwowego Polski.

WSZECHŚWIATOWA WYSTAWA KOBIECA.

W kwietniu 1926 r. ma być urządzona w Chicago wszechświatowa Wystawa Kobieca (Woman's Worlds Fair), do udziału w której Polska ma być również zaproszona.

Przedmiotem wystawy ma być dorobek kobiety we wszystkich formach, dziedzinach i krajach, a więc pozytywne wyniki działalności kobiety w życiu politycznem, społecznem, oświatowem, literackiem, artystycznem, sportowem, przemyśle, handlu, rolnictwie, ogrodnictwie, gospodarstwie i t. d.

HANDEL POLSKO-AMERYKAŃSKI.

W ciągu roku 1924 ze Stanów Zjednoczonych Ameryki przywieziono do Polski 148,308 tonn towaru, wartości 183,949 tysięcy złotych, co stanowi 12,4% ogólnego przywozu do Polski. Wywieziono natomiast z Polski do Stanów Zjednoczonych 10.739 tonn towaru, wartości 7.142 tysięcy złotych (0,6% ogólnego wywozu z Polski). Z powyższych cyfr widać, że bilans handlu polsko-amerykańskiego jest ujemny, przyczem niedobór bilansu polskiego wynosi 176,807 tysięcy złotych. Mimo trudności, z jakiemi spotyka się wywóz towarów do Ameryki ze względu na silną konkurencję miejscowej produkcji, można stwierdzić, że bilanse innych państw europejskich, znajdujących się w podobnej jak Polska sytuacji, posiadają pozycje wywozu do Ameryki znacznie większe. Kłaść to należy na karb właściwej organizacji handlu w tych państwach.

WYSTAWY W MIESIĄCU SIERPNIU.

W miesiącu sierpniu odbędzie się 37 wystaw handlowo-przemysłowych w Europie, których wykaz można obejrzeć w lokalu Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce (Nowy Świat Nr. 72).

Minister Pełnomocny i Poseł Nadzwyczajny Ameryki w Polsce, prof. dr. Alfred J. Pearson opuszcza Polskę, udając się na nowe stanowisko dyplomatyczne do Helsingforsu. Towarzystwo Polsko-Am. i Am.-Polska Izba Handl.-Przemysłowa w Polsce urządziły na cześć Jego śniadanie pożegnalne w lokalu Resursy Kupieckiej w środę dn. 5-go sierpnia, podczas którego został mu wręczony artystycznie wykonany adres pożegnalny.

Pan Frank Watrous Morse, przedstawiciel firmy Baldwin Locomotive Works, po sześcioletnim pobycie w Polsce powraca do Stanów Zjednoczonych.

W Nowym Jorku zmarł p. Hiram Barney, członek Amerykańsko-Polskiej Izby Handl.-Przem. w Stanach Zjednoczonych — znany i szczery przyjaciel Polski.

W poczet członków rzeczywistych Amer.-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce przyjęto firmę „Polon" w Bydgoszczy.

PROROK Z PUSZCZY

(Dalszy ciąg ze str. 43)

lejakie! Reklama jest zawsze dobra — taka, inna czy dziesiąta, byle nie milczenie! Nie zabójcze milczenie! A teraz — Liana klasnęła w ręce — jakże będą szczekały małe pieski brukowe! Jakże będą ryczały wielkie lwy!

Rzuciła się na szezlong i przymknęła oczy rozkosznie. Zaczynała prawie wierzyć sama w amerykańskie engagement. A w każdym razie w to, że tam, gdzieś czeka ją jakaś świetna, ciekawa, tysiącbajkowa przygoda. I już słyszała niemal, jak jedzie w rajskim kapeluszu na tle sleepingu, pod głuchą kołysanką pulmanowskich kół — w nowe życie — w nowy świat.

* * *

O tym samym czasie, pod cichemi gwiazdami, które się odbijały w głębi wody, głucho turkotała niewidoczna w cieniu motorówka. A dwie pochylone u brzegów ściany puszczy szumiały nieustanną, rozkołysaną, tajemniczą pieśń. *(D. c. n.)*

OFERTY I ZAPYTANIA

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

1544 25 Ekspozytura paryska amerykańskiej fabryki płótna i papieru szmerglowego wszelkiego rodzaju pragnie nawiązać kontakt z firmami polskiemi.

1542/25 Prywatny radca handlowy, przedstawiający szereg firm kanadyjskich, pragnie wejść w stosunki z polskimi przemysłowcami, którzy chcą wprowadzić swe wyroby drogą przedstawicielstwa na rynek kanadyjski.

1635/25 Fabryka w Wiscon in, wyrabiająca akcesorja i części samochodowe odda przedstawicielstwo na Polskę.

1302 25 Fabryka łóżek metalowych, sprężyn i materaców w Kentucky poszukuje odbiorców.

1413 25 Firma w New Yorku, wyrabiająca wszelkiego rodzaju części i przybory samochodowe odda przedstawicielstwo na Polskę.

1372 25 Fabryka w New Jersey, wyrabiająca specjalne maszyny na zamówienie, wszelkiego rodzaju maszyny o działalności automatycznej, maszyny do wyrobu i obwijania pudełek papierowych, instalacje do fabrykacji przyborów radjotelefonicznych oraz maszyny cukrownicze—pragnie nawiązać kontakt z firmami polskiemi.

1075 25 Agent nowojorski życzy sobie wejść w stosunki z firmami polskiemi, zajmującemi się eksportem wszelkiego rodzaju nasion: suszonych korzeni, kwiatów, liści i t. p., drogerji i chemikalji, gum, orzechów i t. p.

1048/25 Fabryka w Massachusets, produkująca wszelkiego rodzaju maszyny do obwijania pudełek papierowych—pragnie wejść w stosunki z zainteresowanemi firmami polskiemi.

643/25 Fabryka w Ohio, wyrabiająca rozpylacze do lekarstw i perfum oraz „światła perfumujące" poszukuje odbiorców.

1829/24 Agent importowo-eksportowy w Chicago pragnie nawiązać łączność z firmami polskiemi, które chcą wprowadzić swoje wyroby na rynek amerykański. Korespondencja w języku polskim.

1668/25 Dom Importowy i Eksportowy w Filadelfji pragnie nawiązać łączność z firmami produkującemi wyroby szklane, zabawki, ultramarynę, soki owocowe, dywany, len i konopie.

1991 25 Fabryka lampek do aparatów radjotelefonicznych poszukuje odbiorców.

1939 25 Fabryka w Indiana wyrabiająca wszelkiego rodzaju akcesorja samochodowe i radjotelefoniczne życzy sobie nawiązać stosunki z odbiorcami.

2007/25 Fabryka aparatów radjotelefonicznych i części, poszukuje odbiorców na swe wyroby.

1195/25 Dom Handlowy w Kalifornji chce nawiązać łączność z eksporterami piór i pierza.

DWA ŚWIATY

Nie mogliśmy jeszcze w numerze niniejszym podać sprawozdania z podróży ministra Aleksandra Skrzyńskiego do Stanów Zjednoczonych. Uczynimy to w następnym miesiącu. Uważamy bowiem, że podróż ta będzie miała dla kraju naszego znaczenie historyczne. Zarówno prelekcje ministra w Instytucie Politycznym w Williamstown, jak i przemówienia przygodne na licznych zebraniach i bankietach, były stwierdzeniem tej zasadniczej pisma naszego koncepcji, że pełne odrodzenie państwa naszego nie jest do pomyślenia bez wchłonięcia w płuca społeczeństwa polskiego tej świeżej i ożywczej atmosfery, która kształtuje i życie społeczne i układ państwowy Nowego Świata.

Jesteśmy szczęśliwi i dumni zarazem, że człowiek, który kieruje nawą Państwa naszego na wzburzonem morzu polityki międzynarodowej, odczuł i zrozumiał tę prawdę lepiej, niż ktokolwiek inny u nas. Nie tylko zrozumiał, ale umiał jej nadać wyraz tak piękny i głęboki, że myśli, które rozwinął wśród polityków i dyplomatów pierwszej wielkości podczas zjazdu w Williamstown, pozostaną na zawsze jednym z najcenniejszych dokumentów naszej polityki światowej i zarazem unikatem w naszej literaturze politycznej.

Minister Skrzyński, zastanawiając się nad tajemnicą dziejową, która wyniosła zlepek narodów na ziemi Waszyngtona na czołowe stanowisko ludzkości, daje odpowiedź, że idea demokratyzmu amerykańskiego była tą siłą tajemną, która ten cud uczyniła. Idea demokratyzmu, nie znajdująca w Europie właściwego odpowiednika, a która jak skała granitowa opiera się dwom siłom destrukcyjnym: skrajnemu nacjonalizmowi z jednej strony i nowoczesnemu komunizmowi — z drugiej; siły te niweczą obecnie całą Europę i wiekową jej kulturę.

Stąd—D w a Ś w i a t y, dwa kierunki cywilizacyjne, dwie odrębne energje, kształtujące nowe losy ludzkości.

Zagadka powstania Nowego Świata przestaje być zagadką: powstał on, by świecić przykładem Staremu Światu, by znaczyć nowe linje rozwoju, stwarzać nowe formy współżycia ludzkiego.

„Przybyłem tutaj uczyć się" — powiedział Amerykanom nasz Minister, powiedział — przyznajemy mu to chętnie — w imieniu całego narodu polskiego, i dodał: „dowiedziałem się też, że jedynym wypadkiem, gdzie sprawność amerykańska zawiodła, jest chyba ten, iż nie może wytworzyć więcej, niż 60 minut na godzinę".

Tak bowiem ceni i kocha Amerykanin życie, tak pragnąłby wykorzystać je i w pracy i w szczęściu i w służbie ludzkości, że wszystkie jego dążenia są skierowane ku temu, iżby z każdej minuty uczynić godzinę, a z godziny wieczność całą.

Jeżeli się Minister Skrzyński nauczył czegokolwiek w Ameryce, to—jesteśmy tego pewni—nauczył też Amerykanów, co to jest Polska i jak ją traktować należy w zawiłym splocie stosunków międzynarodowych w podminowanej Europie.

Większej przysługi żaden mąż stanu nie mógłby oddać krajowi swemu.

TREŚĆ NUMERU SIÓDMEGO

Na okładce wizerunek Miss Liany z powieści M. H. Szpyrkówny „Prorok z Puszczy", jak ją sobie wyobraża artysta malarz Antoni Gawiński.

DO CZYTELNIKÓW:

Ze względu na zmianę ceny pisma naszego, ci Czytelnicy, którzy już uiścili prenumeratę za 9 lub 12 numerów zgóry, będą w odpowiedniej sumie bonifikowani przy uiszczeniu następnej prenumeraty.

WYDAWNICTWO T-WA POLSKO-AMERYKAŃSK. I AMERYK.-POLSK. IZBY HANDL.-PRZEM. W POLSCE

NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE N.-ŚWIAT 35.

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna	zł. 15.—	Roczna	dol. 4.—
Półroczna	„ 8.—	Półroczna	„ 2.—
Kwartalna	„ 4.—	Kwartalna	„ 1.—
Numer pojedyńczy	„ 1.50	Numer pojedyńczy	„ 0.40

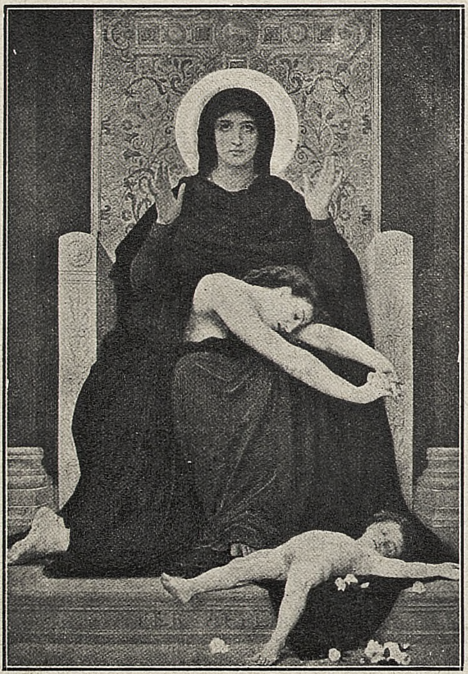
Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, - będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

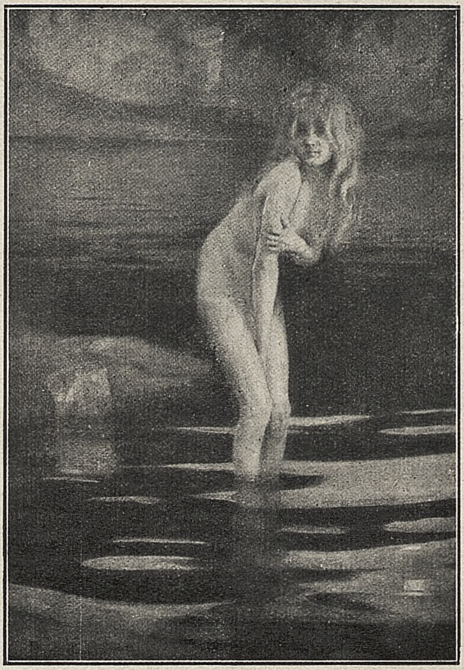
ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT. Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl.-Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, CZERNIAKOWSKA 225.



NOWOŚĆ!



LUXEMBURG

MUZEUM NAJCENNIEJSZYCH DZIEŁ MALARSKICH

50 OBRAZÓW KOLOROWYCH 45 OBRAZÓW DWUTONOWYCH

Z TEKSTEM POLSKIM I FRANCUSKIM LEONA BÉNÉDITE

WYDANIE WYTWORNE, IN FOLIO,

W OZDOBNEJ OKŁADCE

CENA ZŁ. 50.—



CENA ZŁ. 50.—

106

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, CZERNIAKOWSKA 225.